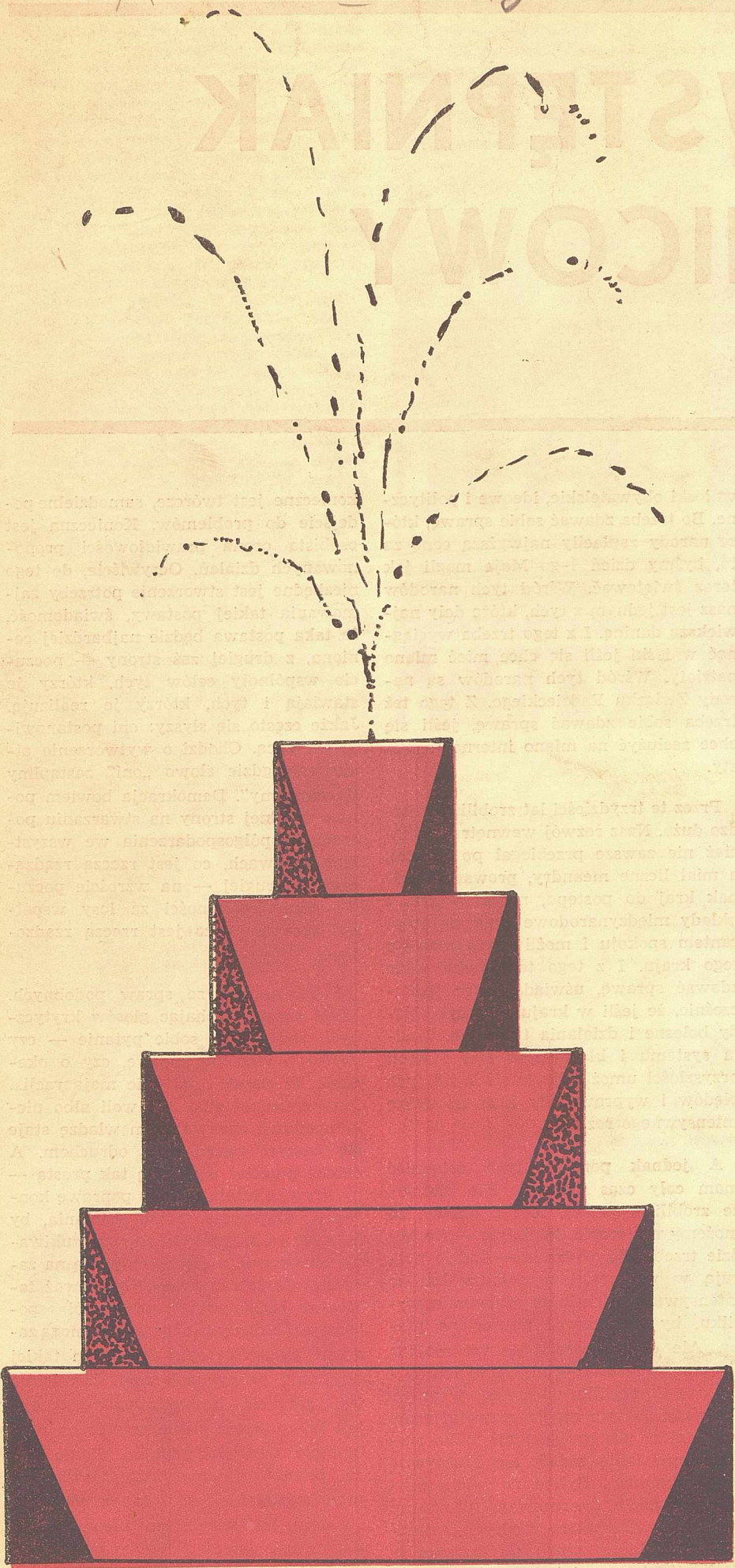


A 2897 II dr. 15

Σ 8 — 68 —
1974 / 75



PROBLEMOWO

MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCŁAWSKIEJ

ANTYWSTĘPNIAK ROCZNICOWY

Jerzy Girulski

Jest u nas tradycją, że wszelkie rocznice wywołują euforię. Nie jestem do końca zdecydowany, czy jest to dobrą, czy nie najlepszą tradycją. Na pewno okazje takie stwarzają dobry klimat i są odpowiednim momentem do dokonywania bilansu osiągnięć, do powiedzenia sobie; kiedyś było tak i tak — zobaczymy jak jest teraz. Wydaje się jednak, że te okazje można wykorzystać jeszcze do innej prezentacji, może trochę sceptycznej, może trochę nienajwygodniejszej, by powiedzieć sobie — zobaczymy jak było, jak wiele zrobiliśmy i popatrzymy jak wiele jeszcze musimy zrobić. Dlatego też pisać niniejsze i robiąc ukłon w stronę tradycji, pragnę od niej częściowo odstąpić, pragnę powybrzydzać na to, co nie jest tak do końca o'key. Zdaje się mi bowiem, że w życiu społecznym na pewno ważna jest świadomość dokonań, ale jeszcze bardziej ważna jest świadomość braków i konieczności działania, by je usunąć. Lecz *ad rem*, powiedzmy coś zgodnie z tradycją.

Jesteśmy w roku szczególnym. Ten maj — nie jest majem normalnym, zwykłym. Prawdą jest, że święto 1 Maja od wielu już dziesiątków lat stało się świętem o bardzo szerokim zasięgu, prawdą jest, że od wielu lat w kraju naszym i wielu innych jest to święto państwowe, święto całego narodu. Lecz ten nasz, dzisiejszy 1 Maj ma wymowę specjalną. Jest obchodzony w 30 rocznicę bezwzględnej kapitulacji Niemiec hitlerowskich. Trzeba tu sobie uzmysłowić, że gdyby nie zwycięstwo odniesione 30 lat temu nad faszyzmem — nie byłoby już nigdy święto pierwszego maja jako święto narodowe obchodzone. Nie tylko nie byłoby tej tradycji — nie byłoby po prostu narodów, które je tak świętują. I to jest pierwszą prawdą w 30 rocznicę zwycięstwa, z której trzeba sobie zdawać sprawę i z której trzeba wyciągnąć

wnioski obywatelskie, ideowe i polityczne. Bo trzeba zdawać sobie sprawę, które narody zapłaciły najwyższą cenę za to, byśmy dzień 1-go Maja mogli jak teraz świętować. Wśród tych narodów nasz jest jednym z tych, które dały największą daninę. I z tego trzeba wyciągnąć wnioski jeśli się chce mieć miano patrioty. Wśród tych narodów są narody Związku Radzieckiego. Z tego też trzeba sobie zdawać sprawę, jeśli się chce zasłużyć na miano internacjonalisty.

Przez te trzydzieści lat zrobiliśmy bardzo dużo. Nasz rozwój wewnętrzny, chociaż nie zawsze przebiegał po prostej, a miał liczne meandry, prowadził jednak kraj do postępu, nasze związki i układy międzynarodowe stały się gwarantem spokoju i możliwością rozwoju tego kraju. I z tego też trzeba sobie zdawać sprawę, uświadamiając jednocześnie, że jeśli w kraju tym były błędy bolesne i działania tragiczne, to siła systemu i klarowność idei i wizji przyszłości umożliwiły odejście od tych błędów i wyprowadziły kraj na drogę intensywnego rozwoju.

A jednak pomimo tych osiągnięć mam cały czas niedosyt. Nie dlatego, że zrobiliśmy mało, lecz z obawy, że możemy nie zrobić dalej tyle — ile będzie trzeba. Bo wreszcie — ludzie pracują w większości wypadków bardzo intensywnie, wkładając maksimum wysiłku, by zrealizować nakreślone plany. Ale dalszy rozwój — wg mojego skromnego zdania — nie może być tylko kwestią wysiłku włożonego w pracę. Jesteśmy na tym etapie rozwoju, gdzie warunkiem postępu jest nie tylko rzetelne spełnianie zadań, ale i aktywne ich wytyczanie. Byłem na wielu zebraniach, gdzie dyskutowano programy i zadania. Słuchałem mądrych referatów i solidaryzującego się duktowania w dyskusji. A przecież teraz jest wręcz konieczne nie tylko solidaryzowanie się,

konieczne jest twórcze, samodzielne podejście do problemów. Konieczna jest osobista ocena prawidłowości proponowanych działań. Oczywiście, do tego niezbędne jest stworzenie potrzeby zajmowania takiej postawy, świadomość, że taka postawa będzie najbardziej cenną, z drugiej zaś strony — poczucie wspólnoty celów tych, którzy je stawiają i tych, którzy je realizują. Jakże często się słyszy: oni postanowili, oni chcą. Chodzi o wytworzenie atmosfery, gdzie słowo „oni” zastąpimy słowem „my”. Demokracja bowiem polega z jednej strony na stwarzaniu poczucia współgospodarzenia we wszystkich sprawach, co jest rzeczą rządzących, z drugiej — na wzroście poczucia odpowiedzialności za losy wspólnej sprawy — co jest rzeczą rządzonej.

I jeszcze coś ze spraw podobnych. Jakże często słuchając głosów krytycznych zadawałem sobie pytanie — czy chodzi o wspólną sprawę, czy o okazywanie, że znowu „oni” nie mają racji... Przypisywanie albo złej woli albo niekompetencji sprawującym władzę staje się naszym narodowym odruchem. A chodzi przecież o sprawę tak prostą — by krytyka miała na celu poprawę koncepcji, ulepszenie metod działania, by była na tak, jeśli chodzi o poszukiwanie rozwiązań, a nie opierała się na zasadzie absolutnej negacji, ponieważ takie czy inne rozwiązania o ogólnospołecznym, słusznym charakterze mogą zagrozić partykularnym interesom takiej czy innej grupy społecznej. Jak łatwo jest zarzucić innym niekompetencję, jak łatwo jest z siebie zrzucić na nich brzemień odpowiedzialności. Zdaje się, że przeciwdziałanie tym zjawiskom, przeciwdziałanie, idące tak z góry jak i z dołu, jest warunkiem nieodzownym dla intensywnego rozwoju w następnym 30 leciu. Jest warunkiem przybliżenia jutra.

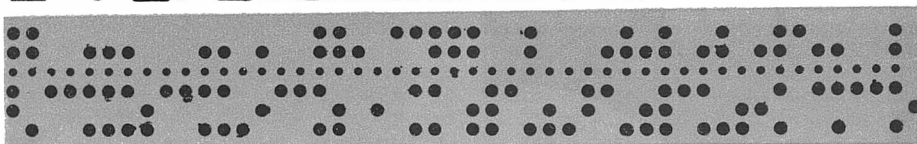
Za podstawowy cel WASC uznano usprawnienie działalności dydaktycznej i naukowo-badawczej poprzez wykorzystanie nowoczesnych metod i środków informatycznych oraz dostarczanie gospodarce narodowej wykwalifikowanej kadry, umiejscowiającej się sprzętem informatycznym. Z tym problemem wiąże się ściśle rozwój i intensyfikacja prac badawczych i eksperymentalnych w zakresie informatyki, integracja działalności badawczej instytutów poprzez wspólne programy badawcze oraz racjonalizacja zarządzania Szkołą.

Istotnymi cechami WASC są: wielodostęp, rozległość terytorialna, abonament usług i wielość zastosowań. Wielodostęp jest metodą użytkowania maszyny cyfrowej, zapewniającą równoległe zdalne wprowadzanie danych i otrzymywanie wyników przetwarzania przez większą liczbę użytkowników. Służą temu urządzenia wejściowe i wyjściowe, zwane urządzeniami końcowymi, połączone bezpośrednio łączami teledacji z maszyną cyfrową. Łączy teledacji (np. linie telegraficzne lub telefoniczne) zapewniają dostęp do maszyny z dowolnego miejsca, w którym mogą się znajdować urządzenia końcowe. Dzięki tym walorom system wielodostępny może być przestrzennie bardzo rozległy. Wielu użytkowników może korzystać jednocześnie z jednego komputera, przy czym każdy otrzymuje odpowiedź z taką szybkością, że użytkownik ma wrażenie, iż maszyna pracuje wyłącznie dla niego. Stwarza to możliwość zaspokajania szerokich i złożonych potrzeb użytkowników. Nie mniej ważną cechą systemu jest możliwość stopniowego obejmowania nowych funkcji i sfer zastosowań, aktualnie jeszcze nie ujawnionych.

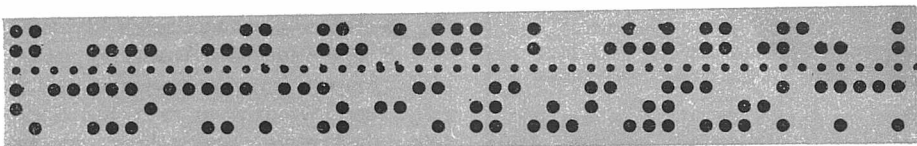
Jakie więc praktyczne zastosowanie znalazł WASC w Uczelni? Przede wszystkim w tzw. systemie automatyzacji dydaktyki. System taki zapewnia studentowi możliwość uczenia się programowania maszyn cyfrowych w różnych językach oraz praktycznej nauki prowadzenia dialogu: człowiek — maszyna, z urządzeń końcowych (dalekopisy, monitory ekranowe). Znajomość metod projektowania technicznego (dialog z maszyną) wykorzystuje się w projektowaniu konstrukcji budowlanych, układów elektronicznych, statków śródlądowych itp. Końcówki abonenckie stanowią cenną pomoc dydaktyczną. W trakcie wykładów czy ćwiczeń można wykonywać skomplikowane oblicze-

Wiadomo powszechnie, iż rozwijająca się nieustannie nauka i technika wymaga wszechstronnego wykorzystania środków informatycznych. Politechnika Wrocławska wychodząc naprzeciw tym wymaganiom zorganizowała w latach sześćdziesiątych Ośrodek Obliczeń Numerycznych oraz Ośrodek Modelowania Analogowego. Z inicjatywy Kierownictwa Politechniki powstał również Wielodostępny Abonencki System Cyfrowy, uznany za jeden z sześciu głównych problemów programu badawczego Szkoły.

PRAŚLOWY



DEBIUT



KOMPUTERA

Maria Peszek

nia numeryczne lub przetwarzać informacje ilustrujące prowadzone zajęcia. Zautomatyzowane nauczanie budzi jeszcze wciąż wiele kontrowersji wśród studentów; komputer przyjmuje szereg działań wykładowcy, przedstawiając np. studentowi nowy materiał, kierując jego pracą, testując i oceniając wyniki nauczania. Za pomocą komputera można uczyć tak skomplikowanych przedmiotów jak np. fizyczne podstawy elektroniki.

Automatyzacja informacji naukowo-technicznej zapewni czytelnikom szybszy i łatwiejszy dostęp do zbiorów bibliotecznych i dokumentacyjnych oraz usprawni i unowocześni metody pracy w poszczególnych działach Biblioteki Głównej i Ośrodka Informacji Nauko-

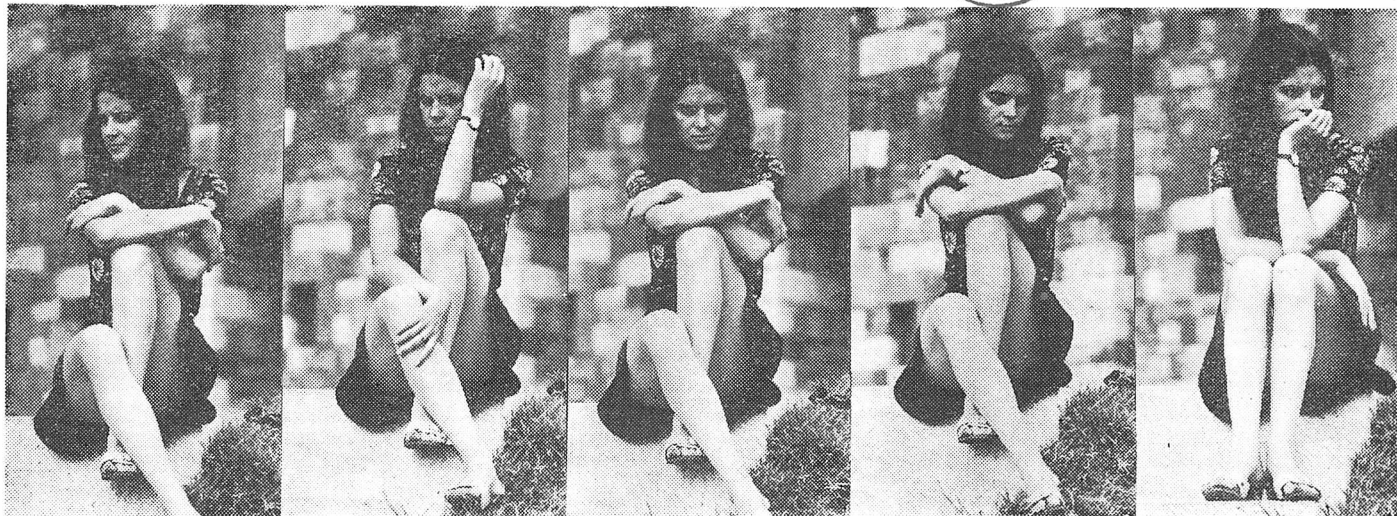
wo-Technicznej. Wprawdzie słyszy się ostatnio wśród studentów i naukowców wiele narzekań na działalność tej biblioteki, ale mamy nadzieję, iż są to kłopoty chwilowe, związane z pracami wdrożeniowymi.

Istotną zaletą WASC-u jest i to, że dzięki niemu można zautomatyzować wiele prac inżynierskich i projektowych, ale przede wszystkim pomaga on w obliczeniach inżynierskich, syntezach elementów składowych projektowanego obiektu, optymalizacji rozwiązań projektowych oraz generowaniu elementów dokumentacji projektowej i konstrukcyjnej. Wiąże się z tym systemem

Dokończenie na str. 11



Fot. J. OLEK



Czy dobrze

fortepian jest dźwigać, gdy w sercu zawał jak słoń?

Wacław
Mejbaum



Fot. J. OLEK

Czy lepiej się z tego wymigać, niech inny bierze się doń? Oto jeden z odwiecznych dylematów ludzkości, rozdartej wahaniem między ryzykanctwem a asekurancją. Wiedział o tym już Szekspir, dyskretnie przywołany w tytule. Wiedział też Dawid Hume, któremu zawdzięczamy takie oto subtelne rozważania, zaczerpnięte z *Traktatu o naturze ludzkiej*:

Doświadczenie, które jest niedawne i świeże w pamięci, działa na nas silniej niż takie, które już w pewnej mierze zostało zapomniane; i doświadczenie takie ma większy wpływ zarówno na naszą władzę sądzenia jak i na wzruszenia. (...) Tak pijak, który widział, jak jego towarzysz umarł z pijaństwa, jest wstrząśnięty tym wypadkiem na czas pewnie nie obawiać się podobnego wypadku dla siebie. W miarę jednak, jak pamięć o tym wydarzeniu zanika stopniowo, wraca jego pierwotna beztroska i niebezpieczeństwo zdaje się mu być mniej pewne i realne.

Hume — w cytowanym fragmencie — zwraca uwagę na sprzeczność zachodzącą między wspomnieniem a działaniem. Wychodząc może cokolwiek poza intencje brytyjskiego empiryka zauważymy, że wymieniona sprzeczność przewija się dwojako. Ktoś, kogo życie wyposażało w bagaż szczególnie przyjemnych wspomnień chętnie poświęci resztę dni swoich na retrospekcję, będzie codziennie powracał wyobraźnią do bardziej pikantnych szczegółów swojej biografii, nieskory do podejmowania jakichkolwiek działań, od których efektów niczego istotnie lepszego spodziewać się nie może. Inaczej osobnik przytłoczony dziedzictwem wydarzeń bolesnych lub obojętnych. Ten znowu pogrąży się w lenistwie bądź ze zro-



zumiałego strachu, że raz przeżyty koszmarny może się powtórzyć, bądź powodowany rozsądną kalkulacją, że w grze, gdzie guzik można wygrać, i grosza nie warto postawić. Konkluzja w obu wypadkach jest jednakowa: im więcej pamiętamy, tym bardziej szkoda nam zachodu związanego z jakimkolwiek działaniem. Człowiek o idealnej pamięci (ulubiony termin poznańskiego filozofa Leszka Nowaka) nie robiłby nic zgoła. A w żadnym już razie nie pijałby alkoholu i to pod żadną — historycznie zmienną — postacią.

Szczęśliwie już pierwsza konkretyzacja powyższych rozważań idealizacyjnych ujawnia, że na powierzchni zjawisk całkowita racja jest po stronie Hume'a. Zapominamy. Nie uczymy się historii — własnej ani cudzej — oraz lekceważymy morały niegdysiejszych kaców i doświadczeń. Dzięki temu jakoś to idzie.

W ubiegłym roku miałem zaszczyt wykazywać na tych łamach, iż wiara w lepsze jutro należy do przesądów szczególnie szkodliwych i niebezpiecznych. Obecnie przekonujemy się, że również wiara w przeszłość nie ułatwia życia. Zdawałoby się, że pozostaje w każdym razie teraźniejszość. Jeśli jednak pamiętać (choć — czy warto?), że Jean-Paul Sartre pokazał, iż teraźniejszość jest nicością, to sytuacja ujawni swoją całkowitą problematyczność. Pocieszam się, że elekwentny autor dzieła *Przeszłość jako przedmiot wiary* borykał się (bezsukcesownie, acz mężnie) z tymi samymi trudnościami. Czytelników zaś — zainteresowanych naukową analizą problemu — mogę jedynie odesłać do monumentalnej książki Józefa Pietra *Życie ludzi* oraz do prac Warszawskiej Szkoły Etyki profesora Fritzhandy.

KILKA UWAG O SAMORZĄDZIE

Samorządność studencka jest problemem, który już wiele razy poruszany był zarówno w licznych dyskusjach, jak i na łamach różnych wydawnictw. W miarę pojawiania się nowych regulaminów coraz częściej porusza się ten temat — bumerang. Problem sprawowania władzy w grupie studenckiej jest szczególnie wyraźnie widoczny na terenie domów studenckich, tam bowiem sami mieszkańcy są współgospodarzami i chcą decydować o wielu sprawach.

Praca grupy aktywistów stanowiących Radę Mieszkańców pozornie, a zwłaszcza osobom, które nigdy nie mieszkały w DS, wydaje się prosta. Grono kolegów doskonale się znających nie powinno mieć przecież problemów z rozwiązaniem jakiegoś dylematu — tak twierdzą laicy. Tymczasem sami studenci mają problem dość poważny: jak pokierować zespołem ludzkim, który stanowią przyjaciele jeszcze wczoraj nie związani żadnym statusem organizacyjnym? Często zespół, który liczył na to, że będzie dobrze pracował, nie daje sobie rady. Młody, niedoświadczony kierownik nie jest w stanie wyegzekwować wielu spraw od swych kolegów. Zaczynają się tarcia wewnątrz grupy, jej szef urasta do miana despoty i jakże często grupa przestaje działać, a jej przywódca tra-

ci kolegów. Problem ten jest bardzo istotny, bowiem grupa, która ma w praktyce realizować założenia samorządności studenckiej, nie jest w stanie nawet istnieć jako zgrany zespół. Sytuację tę zaczyna się już dostrzegać na tyle, że coraz częściej organizuje się szkolenia i odczyty na tematy głównych założeń prakseologicznych, czy zasad kierowania zespołami ludzkimi. Młodzi ludzie poznają merytoryczną stronę działania w zbiorowości i to im ma pomóc w ich dalszej, już samodzielnej pracy.

Innym problemem związanym z samorządnością jest odpowiedzialność. W wielu przypadkach sami aktywiści, a już nągminnie — osoby stojące na uboczu organizacji, nie chcą zrozumieć, że razem z otrzymanymi uprawnieniami nakłada się na nich odpowiedzialność za podejmowane decyzje. Na Uczelni dąży się systematycznie do rozszerzenia zakresu samodzielnego działania grupy studenckiej; wspomnieć należy chociażby rozszerzenie uprawnień Grupy Działania w zakresie przyznawania pomocy materialnej, czy organizowania różnych imprez kulturalno-rozrywkowych. Ostatnio, gdy zmieniły się warunki socjalno-bytowe studentów (nowy DS przy ulicy Wittiga), na nowo ruszono sprawę regulaminów domów studenckich. Do licznych jego wersji dotarła jeszcze jedna — opracowana przez mieszkańców nowego DS, a więc osoby bezpośrednio zainteresowane problemem. Władze Uczelni poinformowały zainteresowanych, że nowy regulamin DS będzie opracowany w oparciu o liczne projekty i propozycje oraz że będzie obowiązywał od nowego semestru.

Tymczasem niektóre sprawy należałoby rozwiązać jeszcze w tym semestrze. O dużym zainteresowaniu władz Uczelni problemami samorządności świadczy wprowadzenie zmian dotyczących spraw organizacyjnych (jeszcze w tym miesiącu) do aktualnie obowiązującego Zeszytu Wytycznych nr 18 (dotyczącego domów studenckich Politechniki Wrocławskiej).

Decyzja uwzględniająca postulaty studentów jeszcze raz potwierdziła, iż klimat wokół tych spraw panujący na naszej Uczelni sprzyja rozwojowi samorządności studenckiej. Młodzi ludzie zaczynają ufać sobie oraz innym, widzą, że ich wysiłki są dostrzegane przez otoczenie i to ich mobilizuje do wzmożonej pracy. Sytuacja taka ma jeszcze jeden bardzo istotny aspekt, otóż poprzez realizację postulatów zbiorowości grupa kierownicza uzyskuje aprobatę dla swojej działalności, zdobywa w ten sposób autorytet i zrobiecie wśród swoich wyborców. Sytuacja taka jest kapitalnym środkiem integrującym społeczność studencką, tworząc z niej zespół, który dorósł już nie tylko do wysuwania postulatów, ale jest już w stanie wskazać drogi prowadzące do ich realizacji i jest gotów do przyjęcia większego bagażu odpowiedzialności.

Miejmy nadzieję, że panująca atmosfera utrzyma się nadal, a najbliższe semestry przekonają nas o słuszności podejmowanych decyzji, co przyczyni się do wzrostu zaufania jakim darzy się społeczność studencką będącą współgospodarzem swojej Uczelni.

NARCYZ SZKLARZ

W POSZUKIWANIU KOMPETENCJI

Jest rzeczą bezsporną, że rola nauki od co najmniej półtora wieku wciąż rośnie, jej wpływy widoczne są w każdej niemal dziedzinie życia. Rośnie też ilość spraw i zagadnień wymagających specjalnych kompetencji — to stwierdzenie również nie wzbudza wątpliwości. Zasada kompetencji jednak utożsamiana bywa w potocznej opinii z zasadniczą dyrektywą racjonalnego działania w ogóle. Owa potoczna opinia, jak się wydaje, traktuje naukę jako swego rodzaju rezerwuuar „rozumu” z którego można czerpać zawsze, gdy pojawia się konieczność uporania się z jakimś problemem, znalezienia odpowiedzi na niepokojące pytanie. Ma ona stanowić panaceum na wszelkie życiowe trudności. Nauka ma — w myśl tego poglądu — wykuwać narzędzie zdolne do rozwiązywania wszelkich dylematów ludzkiego losu i każdego z nich z osobna.

W ten sposób nauka urasta do rangi mitu i to tym bardziej, z im większego oddalenia ukazuje się oczom wyobraźni. I z tej absolutyzacji roli nauki zapewne wyrasta owa zasada kompetencji. Nauce przyznawane są wyłączne, niezastępowalne prawa w dostarczaniu jedynie prawomocnych zasad i kryteriów działania. Inne postacie wiedzy: artystyczna, religijna, symboliczna i potoczna — wedle podziału E. Cassirera, zostają zdeprecjonowane, zepchnięte na bok i uznane za mało pomocne w przekształcaniu oraz poznawaniu świata. Zaryzykować można nawet tezę, że rozkwitowi mitu nauki, wzrostowi jej prestiżu towarzyszy

cywilizacji współczesnej zanik, czy może raczej — osłabienie tradycyjnie obecnych w kulturze form świadomości, które — historycznie rzecz biorąc — pełniły funkcję źródeł mądrości ukierunkowujących społeczne energie; mam tu na myśli takie formy świadomości jak np. wiara czy filozofia. Cała wizja świata i cała koncepcja człowieka zawarta została w zidentyfikowaniu, utożsamieniu zabsolutyzowanej zasady kompetencji i rozumie naukowego. Nauka, poprzez *a priori* przyjętą wyższość — jaka niewątpliwie istnieje, nie we wszystkich dziedzinach jednak — zawiera nowe wizje i koncepcje, które w porównaniu z analogicznymi formami z przeszłości nie wyróżniają się ani specjalną oryginalnością, ani nowatorstwem. Poprzez swą „pewność” nauka dyskwalifikuje wszelkie pytania, problemy i zagadnienia, w których artykułowała się tradycyjnie problematyka humanistyczna.

Ta swoista odmiana scjentyzmu głosi pewnego rodzaju redukcjonizm, w którym zawiera się wiara, że całość kształtu życia społecznego jest redukowalna do takiego systemu „czysto technicznych” kwestii, które w całości da się przedrzeć czy później rozwiązać przy pomocy środków technicznych. Termin dokonania tego uzależniony jest od rozwoju nauki, jej pojętych szeroko narzędzi technicznych oraz reguł ich stosowania.

Takie postawienie sprawy prowadzi do niebezpiecznej i antyhumanistycznej utopii. Niebezpiecznej, bo nie jest ona wyssaną z palca spekulacją, bowiem mitologizuje i deformuje jedynie funkcję wiedzy naukowej i technicznej, której rolę — jeśli weźmiemy pod uwagę historię gatunku *homo sapiens* — trudno przeceniać. Antyhumanistycz-

nej, gdyż pomija inne aspekty osobowości człowieka i społeczeństwa oraz deformuje strukturę tej osobowości przez jednostronne — bo jak się uważa — jedyne zasadne podejście.

Osiągnięcia nauki są oczywiste i niepodważalne. Trzeba jednak pamiętać, że nauka jako jedna z wielu form świadomości społecznej jest historycznie zmienna, zmienne są więc jej kryteria i możliwości. Absolutyzując i mitologizując ją zniekształca się system zależności i związki z globalnym życiem społecznym, którego całość przedstawia się nieprawdnie jako podporządkowane nauce pole działania, podczas gdy jest ona tylko wytworem owego życia i nie jest w stanie uniezależnić się całkowicie od jego warunków i ograniczeń.

Nauka, wielka nadzieja ludzkości, ma niewątpliwie udział w poprawie bytu człowieka, w pewnym uniezależnieniu go od przyrody. Jednak wiara w jej omnipotencję i w możliwość „technicyzycznej redukcji” zagadnień życia społecznego w rzeczywistości utrudnia efektywne wykorzystanie stworzonych przez naukę i technikę możliwości humanizowania rozwoju ludzkiego.

Jeśli się w ową wszechkompetencję uwierzy i przyjmie, że nauka może rozwiązywać wszelkie problemy świata współczesnego, to sprzyjać to może chęci oddawania swego losu w „kompetentne ręce” i spowodować odwrócenie się — z racji nieposiadania tych kompetencji — od spraw tego świata. Powstać może możliwość wygodnej nie-raz ucieczki i rezygnacji z odpowiedzialnego uczestnictwa w świecie z powodu nienależenia do logomachii uczonych. Nie powinniśmy dopuścić do tego — i tak nam dopomóż nauko...

ADAM DROZDEK

ZAGRANICZNE PERYPETIE

Marek Szewczyk

Leningrad, 22°C mrozu, zamarzająca Niewa, Ermitaż, Twierdza Pietropawłowska, Aurora, Hotel „Družba”... Jak na ekranie kina, tak nam, uczestnikom „Pociągu Przyjaźni” przewijały się za szybą autokaru obiekty miasta — bohatera, miasta stu wysp, 68 kanałów i rzek... Wenecja Północy spowita grubą warstwą śniegu witała swym zimnym porannym oddechem 300 polskich studentów. Wielu z nas przeżywało po raz pierwszy tak niskie temperatury, dla wielu „Pociąg” był możliwością pierwszego kontaktu ze Związkiem Radzieckim.

Pamiętam jak na kilka dni przed wyjazdem z kraju spotkał mnie w Radzie Zbyszek: „Tylko coś napisz z tej eskapady”. Miał to być reportaż, felieton, wspomnienie.

Rafał, przew. RO SZSP w Leningradzie przywitał się z nami jak ze starymi znajomymi „Czekaliśmy na was; to fajnie, że przyjechaliście, szkoda, że na tak krótko...” — był wzruszony.

Później nasza trójka: Maciek, Witek i ja, wiele mu zawdzięczała jako przewodnikowi. Dzięki niemu zwiedziliśmy domy studenckie, w których mieszkają nasi studenci, dzięki niemu zorganizowaliśmy spotkanie dyskusyjne z trzydziestoosobową grupą studiujących tam Polaków (W Leningradzie jest ich wiele więcej, ale nie powrócili jeszcze z kraju — ferie).

Środowisko akademickie Leningradu jako jedyne poza granicami kraju posiada swój klub, gdzie możemy się spotkać, podyskutować — mówi przew. RO SZSP. — Gościny udzielił nam Konsulat Generalny. W ogóle wiele zawdzięczamy Generalnemu Konsulowi J. Chabelskiemu. To przecież nie kto

inny jak on mcnituje w Ambasadzie, w Ministerstwie, na Uczelniach. A jest o co monitorować. Stypendia dochodzą do nas z dużym opóźnieniem. Nieraz raz na dwa miesiące, a przecież my sami opłacamy akademik, wyżywienie.

Student skierowany na studia za granicą otrzymuje stypendium zgodnie z przepisami nr 177 Rady Ministrów z dnia 13 lipca 1975 roku. (MP Nr 37, poz. 211).

— Za okres nieobecności w ZSRR zgodnie z przepisami potrąca się ze stypendium, a przecież pieniądze trzeba mieć zawsze, choć te pięć kopiejek na metro...

— A jak wyglądała wasza droga na studia w ZSRR? — pyta Maciek.

— Większość z nas była skierowana na studia bez egzaminu, później — obóz w Kielcach, Radomiu, przyjazd do ZSRR... i wielkie rozczarowanie — to Piotrek nie wytrzymuje.

— Jechałem tu na specjalność układy elektroniczne, a zostałem wpisany na technologię produkcji lamp, który to kierunek notabene został już zblikwidowany — uzupełnia go Bogdan, kolega z II roku.

— Ja miałem podobną sytuację — rozpoczyna swój wywód Adam Hojnacki (III rok elektr. aparatury med.) i tylko dzięki swoim zabiegom i ojcowskiemu podejściu Konsula zmieniłem kierunek.

— To są drobne przypadki — Rafał podtrzymuje dyskusję — ale zdarzają się i takie, że studenci miast ładować w Leningradzie dowiadują się w pociągu, że ich uczelnia znajduje się w Zaporozżu i na odwrót.

Studenci zakwalifikowani na studia w Krajach Demokracji Ludowej rozpoczynają zajęcia na kierunku wybranym w oparciu o rozdzielnik limitów miejsc kierunków studiów i specjalności na poszczególne kraje przekazany uczelniom i kuratorium przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. W przypadku zbyt dużej ilości zgłoszeń na dany kierunek, przedstawiciel MINSWIT w porozumieniu i za zgodą zainteresowanego kandydata biorącego udział w zgrupowaniu poprzedzającym wyjazd za granicę dokonuje przesunięcia go na inny kierunek studiów — zależnie od posiadanych możliwości wynikających z rozdzielnika. O ile kandydat nie wyraża zgody na zmianę kierunku, a rozdzielnik nie daje możliwości skierowania wszystkich zainteresowanych danym kierunkiem na studia zagraniczne, pozostaje w kraju i rozpoczyna studia bez egzaminu wstępnego na uczelni, która zgłosiła jego kandydaturę na studia zagraniczne — powie mi później dyr. mgr St. Gabiga z Pionu d/s Współpracy z Zagranicą. — Informacja zawarta w roz-

działnikach limitów jest niewystarczająca i nie satysfakcjonuje w pełni zarówno kandydatów na studia jak i ich rodziców. Ten niedobór zaspokajamy informacją zawartą w informatorach o uczelniach zagranicznych, spostrzeżeniami naszych studentów przebywających aktualnie na studiach za granicą, względnie relacjami pracowników naukowych uczelni, którzy odbyli staż naukowy w danym ośrodku. W wyjątkowych przypadkach zwracamy się do Ministerstwa z prośbą o dodatkową informację. Kandydaci na studia za granicą wydają się być w pełni zadowoleni z tych danych, które z naszej strony otrzymują.

— Kontakt z uczelnią ogranicza się tymczasem do pieczątki w legitymacji i zwrotów kosztów podróży.

— Nie masz racji Zbyszku, ja np. otrzymałem odpowiedź na mój list, w którym zawiadomiłem o osiągniętych przeze mnie wynikach w nauce.

— Ale czy to jest ta forma opieki, której wy potrzebujecie? — pytam.

— Nieodzowne jest uregulowanie spraw dot. praktyk, naszego udziału w formach wakacyjnego wypoczynku w kraju, nauki języka zachodniego, środków propagujących naszą uczelnię, region i kraj, wspólne kontakty — jeden po drugim padają głosy dyskusji. Atmosfera staje się żywa, otwarta.

Zarówno kontakty korespondencyjne jak i spotkania ze studentami przybywającymi do Pionu w czasie pobytów w kraju z okazji świąt, przerwy międzysemestralnej lub wakacyjnej, układają się bardzo dobrze — mówi dyr. Pionu d/s Współpracy z Zagranicą. Jestem zmuszony jednak podkreślić, że nie wszyscy studenci utrzymują ten kontakt, pomimo wyraźnej naszej prośby, by przy okazji każdego pobytu w kraju złożyli wizytę w uczelni, a w sprawach trudniejszych zwracali się korespondencyjnie do Politechniki Wrocławskiej z prośbą o pomoc czy interwencję.

Ta „wolna trybuna” trwała blisko dwie godziny. Z mieszanymi uczuciami opuszczaliśmy akademik. Idąc do klubu dyskutowałem jeszcze z naszymi (ze wspomnianym już Adamem Hojnackim, z Bogdanem Paszkiewiczem), i ze studentami innych uczelni Polski. Byli z różnych miast, różne uczelnie czuwały nad ich studiami, lecz problemy mieli niemalże te same.

Wysyłamy stosunkowo dużo studentów na zagraniczne studia. W 1974 r. na studia do ZSRR wyjechało z Wrocławia 32 osoby. Wcześniej przeszli obóz organizowany przez Politechnikę Świętokrzyską, który właściwie nic im nie dał. „Języka to my się tam nie nauczyliśmy” — mówią. Czy wysyłając studentów za granicę wystarczy zdać się tylko na obóz przygotowawczy? A później w trakcie studiów, czy wystarczy sama odpowiedź na listy donoszące o osiągniętych wynikach? Tym ludziom potrzebna jest szerszej pojęcia opieka. Dobrze będzie, gdy student studiujący za granicą będzie miał swego opiekuna w kraju, dobrze byłoby gdyby ten opiekun choć raz spotkał się ze swym podopiecznym także w miejscu jego studiów, w akademiku, na uczelni, by mógł swoje postępowanie dydaktyczne „dostroić” do warunków tych w których żyje student, by mógł zapoznać się z zagranicznymi metodami dydaktycznymi, przecież i tu sprawdza się znane porzekadło „co kraj to obyczaj”.

Fot. J. SAMOTUS



Studenci nasi nie mają za granicą, a także w ZSRR, możliwości odbywania praktyk. Czy nie można dać im szansy odbycia takiej praktyki w Polsce?

Jak poinformował mnie dyr. St. Gabiga, w najbliższej przyszłości każdy student skierowany przez uczelnię na studia za granicą będzie posiadał opiekuna dydaktycznego, u którego będzie mógł konsultować sprawy merytoryczne związane ze swymi studiami np. tematów prac dyplomowych. Oprócz tego uczelnia nasza organizuje praktyki krajowe tym studentom, którzy zwracają się z prośbą w tej sprawie, udziela pomocy w organizowaniu wypoczynku studenta w kraju oraz pomocy socjalno-bytowej, załatwia sprawy paszportowe i finansowe (zwracanie jeden raz w roku kosztów podróży, nagród w złotych polskich z tytułu otrzymywania dyplomów z wyróżnieniem, stypendiów w złotych polskich za okres pobytu w kraju, wynagrodzeń za odbywane praktyki w kraju itp.), wydaje i przedłuża legitymacje studenckie, wydaje różnego rodzaju zaświadczenia dla władz np. celnych, wojskowych, kwaterunkowych, ZUS i innych, realizuje wpłaty na studenckie książeczki mieszkaniowe itp.

Różnie z tym jednak bywa, pierwszą praktyką jest często dopiero zakład pracy, do którego trafia. A i z tym są niemałe problemy. Zakłady niechętnie przyjmują „tych zza granicy” bo przecież nim on nadrobi zaległości terminologiczne, to dużo wody upłynie. Aż dziw bierze, że nikt nie pomyśli o tym, aby zabezpieczyć większym skupiskiem polskich studentów podręczne biblioteczki techniczne, oczywiście w języku polskim. Znajomość fachowej literatury polskiej ogranicza się tylko do tych pozycji, które student przydzwiga ze sobą z Polski. I na nic w tym momencie zdadzą się propozycje i przypomnienia typu: czytajcie koledzy polską literaturę fachową, bo tylko w ten sposób utrzymacie kontakt z polską myślą techniczną. Ileż książek można przewieźć ze sobą, a poza tym dobra pozycja techniczna nie kosztuje mniej niż 100 złotych polskich.

Jest jeszcze jeden i to chyba również ważny moment — wakacje. Student studiujący w kraju marzy o wyjeździe za granicę, studiujący za granicą — o przyjemnym spędzeniu wolnego czasu na ziemi ojczystej. Zazwyczaj nie dochodzą do ośrodków zagranicznych takie propozycje.

— Powiedz mi Marku, ile razy byłeś na obozie — zadano mi takie pytanie na tym spotkaniu — bo widzisz, ja ani razu. Nie bardzo wiedziałem co odpowiedzieć. Żałuję tylko, że nie miałem wówczas przy sobie „Obowiązków i praw studentów skierowanych na studia w szkołach wyższych za granicą”. Wówczas przeczytałbym mu w odpowiedzi punkt 8, który mówi: *Niestosowanie się do postanowień art. 4, 5, 6, 7, może pociągnąć za sobą odwołanie ze studiów zagranicznych do kraju.* A czego student „zagraniczny” może oczekiwać „in plus”? Bo student studiujący w Polsce ma możliwość uzyskania miejsca na obozie, odebrania stypendium terminowo, czy skorzystania z biblioteki. Później też nie mówią na niego: „te, zagranicznia...”



Zdarzyło mi się kiedyś kupić konserwę — ot zwykłe metalowe pudełko — nic nadzwyczajnego. Przyznam też od razu, nie mogę przeciw tego faktu ukrywać; była to konserwa mięsna. Producent zresztą też zbytnio nie starał się tego zataić, bo i po co. Konserwa była mięsna, a nawet turystyczna. Nie wiadomo jednak, czy to dobrze, czy źle, że i taka i taka. Skoro mięsna i jedynie turysta mógłby podjąć się ryzyka konsumpcji, to niezbyt dobrze, ale biorąc znowu z innej strony: konserwa mięsna, a nawet turysta nią nie pogardzi — to już brzmi lepiej. Stosunek producenta do turystyki stałby się jasny z pewnością po spożyciu całego wyrobu, ale nie sama ta relacja mnie w tym produkcji zaintrygowała. Po kolejnym przeczytaniu treści nalepki, zaczęły znikać moje wątpliwości przednio opisane, ujrzałem bowiem drobnym drukiem wypisany napis „etykieta zastępcza”.

Zacząłem mnie to zastanawiać; co i w czym interesie ona zastępuje. Oderwałem pasek papieru od metalu i po drugiej stronie etykiety mogłem bez trudu odczytać starannie plastycznie odrobiony napis: „kiełbasa z grochem”. Za-

cząłem mieć coraz większe wątpliwości, czy przypadkiem zawartości konserwy nie miała stanowić kiełbasa z grochem, ale pomieszały się proporcje i wyszła konserwa turystyczna, czyli nie wiadomo jaka. Być może to zakład przetwórczy zauważywszy nagły rozkwit turystyki przestał produkować kiełbasę z grochem i rzucił się na poszukiwane konserwy turystyczne. Istnieje jeszcze jedna ewentualność; może były zamówione nalepki od razu dwustronnie nadrukowane i odpowiednio przeszkolony pracownik przy pomocy narzędzi powonienia lub paru innych testuje każdą puszkę i w zależności od efektu przykleja adekwatną etykietę z adekwatnej strony.

Idea etykiet zastępczych rozprzestrzeniła się ostatnio i zyskała sobie grono popleczników. Dopisek: „etykieta zastępcza” wiele usprawiedliwia. Wyobraźmy sobie taką abstrakcyjną sytuację: zdjęto z jakichś tam powodów człowieka będącego na dość znacznym stanowisku. Powody — powtarzam — nie są tu istotne. Zdjęto go lub oczywiście przeniesiono na równie odpowiednie stanowisko pozostawiając przy tym wakat do obsadzenia. Zaczęto się oglądać za nowym, energicznym, pełnym świeżych pomysłów kandydatem. Pierwsza przymiarka nie dała rezultatów, dalsze zmniejszenie wymagań również nie dało efektu; bierze się wówczas jakiegось spokojnego, statecznego człowieka, żeby objął „na razie”, tak na tydzień, dwa... Po kilku latach na stanowisku „nasz pracownik” na razie umacnia się na swoim fotelu, bywa, że czasami dba bardziej o fotel niż o obowiązki z posiadania stanowiska wynikające i tak aż do pierwszego poważnego potknięcia, potem może drugiego i trzeciego. Stosunek zwierzchników do takiego jest zawsze przychylniejszy, jest przecież „do chwili aż...”

Można wymienić wiele przykładów prowizorek, które przetrwaly niejedną koncepcję. Ileż to razy dajemy się nabrać na słowa: „...wie pan, na razie założymy, za tydzień, za dwa wpadnie pan i się wymieni...” Oczywiście nie wpadamy, bo przyzwyczajamy się do tymczasowego rozwiązania i tak długo jest dobre, póki jako tako spełnia swoje zadanie. Po co sięgać do wymyślonych przykładów, kiedy życie nic tylko by samo podsuwało tematy; listonosz kładzie nam „na razie” listy na parapecie klatki schodowej, bo za kilka tygodni mają podobno zamontować skrzynkę. Kupujemy wiele różnych rzeczy „na razie”; jak będą lepsze, kupi się coś porządnego. Na drzwiach spółdzielni zastępcza wizytówka wypisana na biurowej maszynie do pisania, chodzimy po kilka lat po kładkach, mostkach, zakładanych jedynie na kilka tygodni, schodzimy cztery pietra niżej po wodę, za parę lat mają budować hydrofor, ale na razie... Po cztery bułki i kostkę masła jedziemy do centrum miasta, bo w dziesięciotysięcznym osiedlu „na razie” nie ma sklepów. Tu rozwiązanie zastępcze, tam prowizorka i tak się jakoś człowiek przyzwyczaja.

Kiedy tak piszę ten felieton, myślę sobie, o ilu to problemach można by pisać, jakie istotne sprawy poruszyć, ilu to ludziom można by zależeć za skórę, ale na razie niech będzie to takie jakie jest. Za dwa, trzy lata, jak wezmę za pióro, ale na razie...

LISTY Z OCEANU

W roku 1877, kiedy Colorado było jeszcze prawdziwym „dzikim zachodem”, a Boulder małą osadą, rozpoczęły się tu wykłady dla studentów nowo powstałego uniwersytetu. Cały University of Colorado mieścił się wtedy w niewielkim trzypiętrowym budynku, gdzie oprócz sal wykładowych i laboratoriów było mieszkanie rektora i jego rodziny. Dziś w budynku tym, zwanym Old Main, mają swą siedzibę wydziały języka francuskiego i włoskiego.

Wiele się tu zmieniło w ciągu ostatnich 98 lat. University of Colorado, dwudziesty siódmy co do wielkości uniwersytet Stanów Zjednoczonych, jest największą uczelnią w rejonie Gór Skalistych i wśród wielu uchodzą za najlepszy uniwersytet w środkowo-zachodniej części Stanów.

Struktura tej uczelni, podobnie jak wielu innych uniwersytetów amerykańskich, różni się od struktury uczelni w Polsce. Podstawową jednostką organizacyjną jest college lub school, odpowiednik grupy wydziałów. College of Arts and Sciences skupia 30 wydziałów i kształci 14 tysięcy studentów. Są to wydziały nauk ścisłych i humanistycznych, wydział sztuk pięknych, języki i wychowanie fizyczne. Drugie miejsce zajmuje College of Engineering, odpowiednik naszej Politechniki. Na 7 wydziałach studiuje tam ponad 2 tysiące słuchaczy. Z pozostałych warto wymienić College of Business, School of Journalism i College of Music.

Wielu studentów wybiera określoną college dopiero po pierwszym, a wydział — po drugim roku studiów. Program pierwszego roku niewiele zależy od przyszłego kierunku studiów; wszystkich obowiązuje język angielski, matematyka, historia.

Pierwszy etap nauki kończy się zwykle po 4 latach otrzymaniem tytułu bachelor. Większość studentów opuszcza wówczas uczelnię. Ci, którzy zostają, aby kontynuować studia, mają przed sobą około 2 lata dalszej nauki, zakończone zdobyciem stopnia master, odpowiednika naszego magistra. Wtedy znów część osób odchodzi z uczelni i rozpoczyna pracę zawodową, a reszta pozostaje przez następne 2-3 lata zapracować na stopień doktora. Absolwenci po doktoracie znajdują zatrudnienie w rozmaitych instytucjach, w przemyśle i w innych uniwersytetach (uczelnia bardzo niechętnie zatrudnia swoich własnych absolwentów). Zarobki i perspektywy znalezienia pracy są na ogół znacznie lepsze niż osób ze stopniem master czy bachelor. Bez doktoratu trudno liczyć na karierę naukową; przeszło 75% pracowników dydaktycznych University of Colorado ma stopień doktora.

Nie tylko struktura uczelni i system studiów, ale rodzaj zajęć uniwersyteckich różni się od znanych mi w kraju. Podstawową formą zajęć dydaktycznych jest wykład. Liczba słuchaczy była bardzo różna. Słyszałem o wykładach z socjologii, gdzie obecnych było 1400 słuchaczy. Z drugiej strony, uczęszczam na wykład z matematyki, gdzie razem z wykładowcą jest nas pięciu. Wykłady odbywają się z reguły 3 razy w tygodniu po godzinie. Na niektórych kierunkach obowiązują dodatkowo laboratoria, starsi studenci często biorą udział w seminariach. Formę pracy indywidualnej stanowią projekty. Studenci młodszych lat często bywają obciążeni dużą ilością prac domowych i tekstów. Brak ćwiczeń jako formy zajęć zmusza do częstych kontaktów z wykładowcą; nie rzadko wyrabia się w ten sposób osobisty, koleżeński stosunek między profesorem a studentem.

Interesującą cechą tutejszego systemu jest brak jakichkolwiek wydziałowych „planów zajęć”. Student ma bardzo dużą swobodę w wyborze interesujących go wykładów. Na przykład, aby po otrzymaniu stopnia bachelor zdobyć stopień Master of Engineering, należy zaliczyć równowartość 450 godzin wykładowych, z których zaledwie połowa musi być z kierunków inżynierskich, reszta zależy od upodobań studenta. Władze uczelni wychodzą z założenia, że każdy stu-

dent, niezależnie od wybranej specjalności, powinien zdobyć pewną wiedzę ogólną, co umożliwi mu widzenie własnej dziedziny we właściwej perspektywie.

✱

Główny campus, czyli miasteczko uniwersyteckie University of Colorado mieści się w Boulder, 70-tysięcznej miejscowości położonej u podnóża Gór Skalistych. Campus zajmuje powierzchnię 2,4 km², studiuje tu 20 tysięcy studentów. Spośród 160 budynków uniwersyteckich 18 stanowią domy akademickie, w tym 4 koedukacyjne. Oprócz budynków wydziałowych jest tu biblioteka z ponad milionem tomów, teatr, muzeum, University Memorial Center (siedziba organizacji studenckich, miejsce wystaw, spotkań i uroczystości), ośrodek zdrowia, duży stadion i dostępny dla wszystkich obiekt sportowy z salą gimnastyczną, kortami, pływalnią i sztucznym lodowiskiem. Wszystkie budynki zbudowane są z miejscowego piaskowca. Duża ilość zieleni sprawia, że campus przypomina podgóorską osadę letniskową.

Po raz pierwszy znalazłem się tu przy końcu sierpnia ubiegłego roku. Zamieszkałem w jednym z domów akademickich, w jednoosobowym pokoju. Początkowo, zanim rozpoczął się rok akademicki, warunki te wydawały mi się doskonałe, wkrótce jednak miałem się rozczarować. Z początkiem września zjechali się studenci. W moim akademiku zamieszkali prawie sami „freshmani” — studenci pierwszego roku. Odniosłem wrażenie, że wielu z nich wybrało uniwersytet, ponieważ był to pierwszy pomysł jaki przyszedł im do głowy. Życie towarzyskie stało się wkrótce zbyt intensywnym; nocne mecze piłki nożnej na korytarzu, zawody „czyj wzmacniacz ma większą moc” i kilka innych atrakcji szybko wyczerpało moją cierpliwość i zmusiło do zmiany miejsca zamieszkania. Przeniósłem się do małego, cichego akademika dla studentów starszych lat. Mieszkam teraz w dwuosobowym pokoju z małą kuchnią i łazienką. Moim współlokatorem jest Gennaro, młody inżynier z Neapolu, który przyjechał tu pogłębić swoje studia.

Większość studentów mieszka poza campusem; miasteczko uniwersyteckie dysponuje tylko 5500 miejscami w domach akademickich. Mieszkanie na terenie kampusu pozwala zaoszczędzić dużo czasu, zwłaszcza jeśli nie ma się własnego samochodu. Semestralna opłata za jednoosobowy pokój i wyżywienie w stołówce wynosi około 700 dolarów. Dochodzi do tego opłata za naukę; dla mieszkańców stanu Colorado — nieco poniżej 300 dolarów. Wielu studentów, aby pozwolić sobie na luksus studiowania, pracuje po kilkanaście godzin tygodniowo w biurach uniwersyteckich, stołówkach i w bibliotece. Inni poświęcają wakacje na pracę zarobkową. Dla studentów z uboższych rodzin istnieją stypendia i korzystne pożyczki. Jeśli już mowa o sprawach finansowych, to warto wspomnieć, że zarobki pracowników naukowych są tu wyższe od średniej uniwersytetów amerykańskich. Profesor zarabia około 20 tys. dolarów rocznie, rektor uniwersytetu — powyżej 50.

Zajęcia uniwersyteckie odbywają się przez 5 dni w tygodniu. Co godzinę donośny głos dzwonu oznajmia przerwę w wykładach. Uliczki kampusu zapelniają się wtedy studentami. Tutejszy tłumek studentów różni się jednak od tego jaki przywykłem oglądać w kraju. Nie chodzi się tu w większych grupach, co najwyżej parami; każdy spieszy w swoją stronę zajęty własnymi sprawami. Nie wiem czy jest to skutek zindywidualizowanego systemu studiów, czy „amerykańskiego stylu życia”, czy po prostu braku zorganizowanych grup studenckich.

W czasie weekendów campus pustoszeje. Wielu studentów wyjeżdża w pobliże góry na narty, lub po prostu na piesze wycieczki. Góry skaliste są wspaniałym terenem wypoczynku turystycznego.

✱

Trudno powiedzieć, czy University of Colorado jest typowym uniwersytetem amerykańskim. W Stanach Zjednoczonych nie ma jednostki nadrzędnej ustalającej strukturę wyższych uczelni, nie ma nawet ministerstwa. Każda uczelnia wykształciła swój indywidualny charakter i styl pracy. Znać jest powiedzenie jednego z rektorów: „osobliwością amerykańskiego systemu szkolnictwa wyższego jest to, że nie jest to żaden system”.

Mimo to wiele uniwersytetów ma podobną strukturę, która wykształciła się we wspólnym procesie ewolucji. Do ujednolicenia przyczynia się też duży przepływ pracowników naukowych i studentów. Profesorowie z innych uczelni zapraszani są na semestralne cykle wykładów, co wraz z zasadą niezatrudniania własnych absolwentów znakomicie odświeża „atmosferę naukową”, przyspiesza przepływ informacji i ułatwia wymianę myśli.

ANZELM IWANIK

Swiadome mijanie się z prawdą (tak najczęściej definiowano kłamstwo) interesowało od dawna moralistów, psychologów, pedagogów. Wiele mów ku obrzydzeniu tego występu wygłosili moralisci, wiele teorii na ten temat wymyślili psycholodzy i niezliczoną ilość sposobów jego wykrywania i zwalczania zastosowali pedagodzy. Z drugiej natomiast strony, dzieci, młodzież i dorośli, dzicy i cywilizowani kłamali od czasu do czasu lub przy każdej nadarzającej się okazji, uczyli się kłamać mądrze i skutecznie, z wyrzutami sumienia lub bez najmniejszych skrupułów. Istnienie różnych wyrafinowanych form kłamstwa stwarza taką sytuację, że ogólnie akceptowana, dana na wstępie definicja kłamstwa okazuje się niepoprawna. Ktoś może mówić prawdę w ten sposób, iżby myślaro, że kłamię i mówiąc prawdę wprowadza innych w błąd — kłamię. „Sztuczki” tego rodzaju znane są nie tylko z gier karcianych. Zresztą inny jeszcze rodzaj postępowania domaga się podciągnięcia pod definicję kłamstwa, a mianowicie „nieświadome nieświadomie się z prawdą”. Gdy ojciec nie chcąc zabrać dziecka do kina na obiecany film decyduje się kłamać, że film ten już nie jest wyświetlany, to przecież kłamię on nawet w tym wypadku, gdy przypadkiem film ten rzeczywiście został właśnie zdjęty z ekranu.

Gdyby naszym celem było poszukiwanie ścisłej definicji kłamstwa, to moglibyśmy sobie znakomicie utrudnić sytuację rozważając różne przypadki kłamstwa bez słów. Na szczęście nie o to nam idzie i poprzestaniemy na zasadniczo niewielkiej zmianie proponowanej definicji: „kłamstwo jest to wypowiedź mająca na celu wprowadzenie kogoś w błąd”.

Zanim uczynimy tak rozumiane kłamstwo przedmiotem myślenia etycznego, przyjrzyjmy się pokrótce co na ten temat mają do powiedzenia uczeni. Jednym z pierwszych „naukowych” pytań dotyczących kłamstwa było: „czy kłamstwo jest cechą wrodzoną, właściwą wszystkim ludziom, czy też kłamstwa się uczymy?”. Średniowieczny autorytet Św. Augustyn sądził, że kłamstwo jest wrodzoną wadą dzieci. Pogląd ten podzielało wielu późniejszych filozofów i przedstawicieli nauki. „Na świecie jest tylko jedno stworzenie kłamliwe, człowiek” — białad Schopenhauer. Naukowcy starali się wytłumaczyć to przyrodnik Lawinsky twierdząc, że odwieczna ludzka tendencja do kłamstwa bierze się stąd, iż w procesie powstawania mowy oddzielona została treść myśli od treści wyrazu myśli. Wypada tu zaznaczyć, że podany został załedwie warunek konieczny kłamstwa. W samej rzeczy, gdybyśmy w naszej ewolucji wymyślili coś lepszego niż energochłonne i niepewne porozumiewanie się przy pomocy znaków, na przykład, gdyby ewolucja wybrała ścieżkę porozumiewania się telepatycznego, kłamstwo pewnie by się nie pojawiło.

Wśród tych, którzy utrzymywali, że człowiek przychodzi na świat wyposażony w zdolność, a nawet tendencję do kłamstwa, wyróżnić należałoby grupę optymistów i grupę pesymistów. Do pierwszych należy bez wątpienia wspomniany św. Augustyn, który twierdził, że „... kłamliwość zanika wraz z wiekiem w miarę jak łaska Boża nawraca człowieka na drogę światła i prawdy”. Drugą grupę reprezentuje Montaigne, gdy patrząc przez sceptyczne szkieleto na czasy i obyczaje konkluduje między innymi, że upór i kłamstwo u człowieka przybierają na sile wraz z jego wiekiem.

Pogląd, że kłamstwo jest „rozwojowym nabytkiem” człowieka, najmocniej postawiony był na gruncie koncepcji człowieka jako „niezapisanej tablicy”, rozwijanej przez empiryzm angielski. Podobne stanowisko wyraża Rousseau: „...wszystko jest dobre, co wychodzi z rąk stwórcy — wszystko wypacza się w rękach ludzi”. W myśl tej zasady Rousseau twierdzi, że dziecko z natury jest prawdomówne, a dopiero wadliwe wychowanie rozwija w nim kłamliwość.

Powie ktoś, że przedstawione powyżej poglądy niewiele mają wspólnego z „naukowością” i stąd tyle sprzecznych zdań. Wspomnieć więc wypada, że i „prawdziwi” przyrodnicy obracali się w zamkniętym kregu powyższych poglądów. I tak z obserwacji zachowań się zwierząt wnioskowali o istnieniu u istot żywych naturalnej tendencji do prawdy, inni wskazując takie fakty jak np. mimika głosili tezę o naturalnej tendencji do maskowania się i kłamstwa.

Współcześnie problem historycznej genezy kłamstwa został praktycznie zarzucony. Uwagę badaczy przyciągają kwestie inne, dogodniej ustawione pod kątem dostępnych procedur badawczych, problemy bardziej praktyczne. Na przykład: „dlaczego i po co ludzie kłamią?”, „jak kłamią?”.

W 1890 roku psycholog amerykański S. Hall po raz pierwszy do badania kłamstwa posłużył się ankietą skierowaną wprost do badanych. I od razu zetknął się z niebezpieczeństwem „kłamstwa na temat kłamstwa”. Niebezpieczeństwo to towarzyszy prawie wszystkim dotychczasowym metodom psychologicznym. Niezliczoną ilość pułapek wykrywających

Maciej
Kałuszyński

MORALIA

MORALIA

„mijanie się z prawdą” i nieszczerą postawę wobec badania wymyślili autorzy kwestionariuszy i testów. W niektórych testach zastosowano wręcz odrębną skalę, która powodowała cyfrowy wskaźnik kłamstwa osoby badanej. W końcu walka psychologów z kłamcami uwieńczona została wymysleniem detektora kłamstwa, maszyny, która mierząc niezależne od woli symptomy takie jak zmiany oporności skóry, tętno itp. łapała kłamiących na gorącym uczynku.

Z informacyjnego punktu widzenia kłamstwo jest oczywistym złem. Nie jest to jednak tak oczywiste z punktu widzenia człowieka żyjącego między innymi ludźmi, który raz po raz staje wobec sytuacji trudnych, konfliktowych, który stara się zachować jako taką równowagę z otoczeniem. F. Baumgarten wymyśliła teorię genezy kłamstwa zgodnie z którą powstaje ono jako wynik „różniczkowania się społecznego”. Jej zdaniem wszędzie tam, gdzie przeciwstawione są sobie dwie klasy społeczne o sprzecznych interesach, powstaje kłamstwo, którego celem jest obrona interesów jednej klasy przed drugą. Badania etnograficzne nie potwierdziły tej teorii. Kłamstwo odnajdywano również u ludów pierwotnych o nieodróżnicowanej strukturze społecznej, a tam gdzie go nie udało się zaobserwować (np. idyjskie plemię Gonda) odkrywano silnie obwarowaną sankcjami normę zabraniającą kłamać. Trudno sobie wyobrazić powstanie takiej normy w społeczności nie znającej kłamstwa. Niemniej jednak pomysł Baumgarten jest wartościowy, ponieważ ujmuje kłamstwo nie tylko jako zjawisko biologiczne czy psychologiczne, lecz jako zjawisko, społeczne. Nie interesuje nas tu kłamstwo jako ewentualny oręż walki klasowej, lecz pamiętajmy, że rozpatrując to zjawisko z moralnego punktu widzenia nie możemy pominąć faktu, że ci którzy kłamią i ci którzy są okłamywani znajdują się zawsze w określonych warunkach społecznych i w określonej sytuacji bytowej. Kłamstwo jest sposobem zachowania się, czynnością przy pomocy której ludzie realizują swoje dobre lub złe moralne cele.

Rozważając kłamstwo nie warto więc zajmować się oceną generalnej oceny kłamstwa jako zła moralnego. Analizując poszczególne przypadki kłamstwa należy mieć na uwadze cele, które przy ich pomocy były realizowane i warunki w których się ta realizacja odbywała. Każdy z nas zetknął się, przynajmniej w literaturze, z przykładami tzw. „szlachetnego kłamstwa”. Wprowadzić kogoś w błąd, to wszak nie zawsze znaczy — uczynić temu komuś krzywdę.

Lecz kłamstwo nie podlegające anatemie moralnej, to nie koniecznie kłamstwo w sytuacji ostatecznej (jak w wypadku lekarza okłamującego chorego) lub „kłamstwo szlachetne”. Są też zwykłe kłamstwa codzienne, które nam pomagają żyć. Nie są one oczywiście czymś godnym pochwały, są moralnie neutralne. Nie widzę nic moralnie złego w sytuacji gdy ktoś mówi: „do widzenia, mam za pięć minut autobus” gdy chce się pozbyć towarzystwa nudziarza. W podobnych sytuacjach zbytnia szczerść nie rokuje nadziei na realizowanie postulatów higieny psychicznej. Odrzucając absolutyzm normy „nie kłam” nie postuluję bynajmniej normy przeciwnej „kłam bez skrupułów”. Kłamstwo to brzydki nawyk, gdy staje się nawykiem, lecz i prawdomówności nie mogą uznać za cnotę, gdy jest to bezmyślna prawdomówność. Ideologia „co w sercu, to na języku” jest może do zrealizowania w kręgach ludzi o silnych nerwach — ja nie mogę. Włos mi się jeży na głowie, gdy pomyślę jak wyglądałaby rubryka „Moralia” gdybym uznał tą zasadę, a redakcja ją tolerowała.

polito- lodzi z zamiłowania

Wojciech
Kabarowski

Szansą dla studentów zmęczonych zbyt specjalistycznym programem studiów, potrzebujących bardziej wszechstronnego wykształcenia, dla których dawka przedmiotów humanistycznych jest zbyt mała i zaledwie sygnalizuje konieczność pogłębiania wiadomości w tym kierunku — jest w naszej Uczelni Koło Nauk Politycznych działające przy Instytucie Nauk Społecznych. Umożliwia ono pogłębienie wiadomości z przedmiotów wchodzących w skład nauk społecznych: ekonomii, socjologii, filozofii oraz — co najważniejsze — daje możliwość samodzielnej pracy w wybranych zagadnieniach, sprawdzenia swoich predyspozycji i zdolności. Obecnie Koło Nauk Politycznych zajmuje się badaniami nad określeniem roli i funk-

cji samorządności studenckiej w szkole wyższej. Pracujemy więc nad tematem dotyczącym bezpośredniego nas i naszych istotnych spraw związanych z okresem studiów.

W październiku ukazał się obszerny komunikat zawierający plan naszej ubiegłorocznej pracy nad problemem samorządności. Praca w pierwszym etapie głównie polegała na studiowaniu i opracowywaniu literatury — z równoczesnym konfrontowaniem ogólnych założeń idei samorządności ze źródłami prawnymi i regulaminowymi określającymi aktualny status samorządności studenckiej w PRL. Pod koniec roku 1974 przystąpiliśmy do badań konkretnych i samodzielnych. Na obozie Rady Uczelnianej w Ślawie Śląskiej przeprowadziliśmy ankietę, której wyniki pozwoliły zorientować się w stanie samorządności studenckiej w naszej Uczelni. Przeprowadzenie ankiety w środowisku działaczy SZSP było pierwszym przybliżeniem interesujących nas kwestii. W chwili obecnej ankietą jest już opracowana i jej wyniki znajdują się w drugiej części komunikatu, który powinien ukazać się niebawem. Mamy w planie przeprowadzenie dalszych tego rodzaju ankiet na wybranych wydziałach Uczelni, w środowisku wrocławskim oraz w innych środowiskach naszego kraju.

Oprócz pracy badawczej, w której bierze udział mały, zaledwie sześciuosobowy zespół, prowadzimy konwersatorium na tematy interesujące ogół członków koła. Tematem konwersatoriów są najczęściej pozycje literaturowe niedostępne na rynku. Organizujemy także spotkania z autorami wyda-

nych w Polsce ciekawszych książek o tematyce odpowiadającej profilowi naszego Koła. Koło nasze prowadzi także współpracę z podobnymi sobie w kraju. Informujemy się wzajemnie o tematach badań i prac, spotykamy się na zjazdach politologicznych, prezentując swój dorobek. W ostatnich latach organizowane są także w okresie wakacyjnym obozy naukowe, na których prowadzimy różne prace związane z realizowanym tematem, a także wypożyczamy.

Duszą naszego Koła, człowiekiem który zawsze służy swą wiedzą i doświadczeniem jest dyr. Instytutu Nauk Społecznych doc. dr Józef Wołoch. Jest to człowiek, który mimo swego stanowiska i autorytetu potrafi zachować bezpośredni do nas stosunek i poważnie traktować nasze poczynania. Wszystko to sprawia, że mamy dużą satysfakcję z wykonywanej pracy — a o to nam głównie chodzi. Do naszych sukcesów i swobodnego klimatu towarzyszącego pracy Koła waleń przyczynił się też jego prezes kol. Tomasz Łakomy — student IV roku WPPT.

Tak więc nasze Koło jest szansą dla studentów o wszechstronnych, głównie jednak politologicznych zainteresowaniach, którzy odczuwają nieodpartą potrzebę zrealizowania swoich pasji, ludzi o otwartych, chłonnych umysłach, chcących wykorzystać swoje predyspozycje i zdolności w praktyce.

Ostatnio zorganizowano spotkanie z wrocławianinem — dyr. Instytutu Nauk Prawno-Ustrojowych Uniwersytetu Wrocławskiego, teoretykiem Państwa i Prawa — prof. dr hab. Władysławem Zamkowskim, autorem interesującej książ-

ki „Dyktatura, suwerenność, demokracja”. Jednocześnie zajmujemy się rozwiązywaniem problemów wynikających z działalności organów studenckich naszej Uczelni; istnieje w Kole grupa osób, która wspólnie z działaczami Rady Uczelnianej pracuje obecnie nad wprowadzeniem nowego modelu propagandy w Szkole.

WOJCIECH KABAROWSKI



Fot. J. OLEK

humor, dowcip... złodziejstwo

Większość Polaków zna taką piosenkę o Felku, który był „morowy” i „pojechał na urlop”. Więc nikogo nie zdziwi, że Zdankiewicz, mimo że na imię miał Andrzej, dla wszystkich był Felkiem. Andrzej przyzwyczaił się do tego imienia już w szkole podstawowej, a że humor i gest miał, to fakt. Nic więc dziwnego, że chętnie widziano go w każdym towarzystwie. Umiął się znaleźć, zabawić innych. Sam też szukał okazji do „zaprodukowania się”. Czynnie działał w studenckim kabarecie, nie oszczędzał się. W pracy klubu działającego na terenie akademika, w którym mieszkał, dawał swoje „pięć minut” na antenie lokalnego radiowęzła, a na drzwiach jego pokoju koledzy proponowali wymalować hasło: „Felek to jest to”, ale obawiali się, że Amerykanie posądzą ich o plagiat. Napisu nie wymalowano, a Felek nadal zarabiał wszystkich swoim humorem.

Akademik, w którym przewodniczącym był A. Witkowski, przez ostatnie lata należał do spokojnych. Dobrze działały poszczególne agendy RM. Klub ze swoim programem nawet dwukrotnie zwyciężał w środowiskowym przeglądzie form twórczości studenckiej. Sąd Koleżeński cierpiał na bezczynność. Ale od stycznia br. „coś” zaczęło się dziać, „coś”, co powoli zakłócało spokojny, niemalże sielankowy tryb życia

studentów. Zaczęły pojawiać się kradzieże. Najpierw drobne. Komuś zginęło 50 zł, komuś sto... Poszkodowani przypisywali to swojemu roztrągnięciu, bałaganiarstwu, ale faktu ogłoszenia (bez przesady) pokoju z aparatury fotograficznej, radia i pełnego stypendium nie można lekceważyć. Postawiono na nogi cały akademik. Złodzieja jednak nie znaleziono, ale to wcale nie znaczyło, że się wyniósł, wręcz przeciwnie dał o sobie znać i to w formie spętowanej. Nie licząc takich drobniaków jak komplet kreślarski firmy Rotring czy teleobiektyw (za 1.500 zł.), zmieniło swoje miejsce położenia kilka droższych przedmiotów (w tym aparat fotograficzny Pentaxon Sir). Na teren akademika wkroczyła milicja. Nie wiadomo jak długo trwałoby dochodzenie, gdyby nie czysty przypadek. Kolega Zbyszka (jeden z poszkodowanych), z którymi chodzili jeszcze do „podstawówki” znając jego hobby zaproponował mu kupno — oczywiście okazjnie — aparatu fotograficznego. Sprzedawał jego znajomy, któremu potrzebna była forsa. Zbyszek skorzystał z propozycji. Miał nikłą nadzieję... Poszli na umówione miejsce. W „pałacu” był półmrok, ale Zbyszek od razu rozpoznał znajomą sylwetkę wymachującą aparatem. Felek szedł w stronę ich stolika. W pewnym momencie stanął, zawahał się...

Po wielomiesięcznej przerwie Sąd Koleżeński miał zajęcie. Jako oskarżony wystąpił największy dowcipniś i... złodziej — Andrzej Zdankiewicz. Wyrok: wydalenie z akademika, odbiór stypendium i propozycja skreślenia z listy studentów z wpisaniem do akt. Skradzione przedmioty zostały odzyskane w całości.

(emes)

PRASOWY DEBIUT KOMPUTERA

Dokończenie ze str. 3

kwestia automatyzacji prac laboratoryjnych (automatyzacja procesów rejestracji i przetwarzania wyników pomiarów badań doświadczalnych, pogłębiająca analiza wyników pomiarowych, identyfikacja wielowymiarowych obiektów, optymalne planowanie eksperymentów i automatyczne sterowanie nimi). Aktualnie najbardziej wykorzystywany jest WASC w zarządzaniu Szkołą (m. in. ewidencja osobowa, rozliczenia finansowe).

Zastosowania sprzętu informatycznego są szeroko popularyzowane nie tylko w szkolnictwie wyższym. W 1974 r. Politechnika podpisała umowę o współpracy z wrocławską Akademią Medyczną, gdzie wykorzystuje się osiągnięcia informatyki przede wszystkim w opracowywaniu wyników badań lekarskich pacjentów i automatyzacji badań laboratoryjnych. Szczegółowo o współpracy obu uczelni informuje *Sigma* w numerze 2/62.

W 1972 r. Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe podejmując propozycję Zarządu Głównego RSW „Prasa—Książka—Ruch” zwróciło się do kierownictwa Zakładu Informatyki Politechniki z propozycją opracowania programu komputerowego Wrocławskiego Wydawnictwa Prasowego. A wynikało to z konieczności usprawnienia prac wydawniczych. Szwedzki dziennik np. już w 1970 r. wprowadził pełną komputerizację analiz sprzedaży. Urządzenia elektroniczne do sterowania kolportażem BEST wprowadzono w 1969 r. w gazetach *Republic* i *Gazette* (USA). Komputer jest również świetnym dyspozytorem, bezbłędnie kieruje spływem materiałów do sekretariatu redakcji, a stąd do drukarni, ustala kolejność składu, druku itp. Do najważniejszych instytucji, które dysponują systemami do gromadzenia, przetwarzania i udostępniania informacji prasowej należą: *Elektronische Informations und Dokumentationszentrum von Presse und Rundfunk* (RFN) oraz amerykański bank informacji *New York Timesa*. W krajach socjalistycznych zastosowano komputery w procesie szybkiego składu niektórych gazet (ZSRR, NRD, CSRR).

W Polsce powołano w 1965 r. Krajowe Biuro Informacji i podjęto prace nad krajowym systemem informacji, z którego mogłyby korzystać środki masowego przekazu. Powołano ośrodki dokumentacji prasowej przy wydawnictwach, których zadaniem było porządkowanie materiałów w archiwach redakcyjnych oraz gromadzenie, opracowywanie w sposób tradycyjny materiałów prasowych dla potrzeb redakcji poszczególnych wydawnictw. Natłok informacji agencyjnych i prasowych spowodował konieczność wprowadzenia środków informatyki i w tej dziedzinie.

Współpraca Politechniki z Wydawnictwem Prasowym ma na celu udoskonalenie działalności wydawnictwa, nakreślenie tła informatycznego w zarządzaniu, redakcjach, ośrodku dokumentacji prasowej i drukarni. W modelu organizacyjnym wydawnictwa wyróżniono kilka grup jednostek: zarząd i kierownictwo wydawnictwa, redakcje dzienników, tygodników i periodyków

jako jednostki twórcze, drukarnię jako jednostkę wykonawczą oraz ośrodek dokumentacji prasowej jako jednostkę usługową. Wszystkie jednostki są zróżnicowane w zakresie wewnętrznych funkcji. Systemy informatyczne mogą mieć zastosowanie przede wszystkim w gromadzeniu oraz aktualizacji informacji, wyszukiwaniu i przetwarzaniu informacji oraz w podejmowaniu decyzji. Zbiór danych jest sterowany przez system komputerowy, zasoby te są stale uzupełniane, i także w krótkim czasie może być obsługiwanych wielu użytkowników. Wymagania te spełnia WASC.

Najważniejszym dla wydawnictwa jest system wyszukiwania informacji prasowej, który zapewnia gromadzenie informacji przez zakładanie zbiorów według tematów (np. gospodarka, kultura, sztuka, sport, turystyka), udostępnia opisy informacyjne przez analizę deskryptorową, aktualizuje je i modyfikuje, redaguje biuletyny specjalne.

System komputerowy może być przydatny również w zarządzaniu wydawnictwem, np. w merytorycznej analizie prasowej (określenie jakości i porównanie gazet, organizacja kolportażu w celu zbadania efektywności i wielkości nakładu), a także w gospodarce zasobami (ewidencja pracowników, środki materiałowe, środki finansowe).

We Wrocławskim Wydawnictwie Prasowym zamierza się wykorzystać urządzenia produkcji krajowej lub krajów socjalistycznych (maszyny typu RJAD). Korzyści z wprowadzenia komputerowego systemu wyszukiwania informacji prasowych wydają się oczywiste. Przede wszystkim umożliwi on przeprowadzenie eksperymentalnych prac, polegających na bezpośrednim, zdalnym korzystaniu przez dziennikarza redagującego artykuł, ze zbiorów informacji zawartych w pamięciach komputera, przy czym na początku informacji będą dotyczyć wybranych zagadnień województwa wrocławskiego. Wyszukiwanie potrzebnych informacji będzie polegało na zgłoszeniu przez dziennikarza — za pomocą dalekopisu — tematu, a pożądane dane zostaną przez komputer wydrukowane na dalekopisie w miejscu pracy dziennikarza.

Od kilku miesięcy trwają prace wdrożeniowe tzw. pilotowego systemu wyszukiwania informacji prasowych. Planuje się, że pilotowy bank informacji będzie zawierał około 30 tysięcy haseł tematycznych. Na początku 1976 r. rozpocznie się eksploatacja eksperymentalnego systemu pilotowego, który pozwoli ocenić prawidłowość i przydatność przyjętych koncepcji i rozwiązań. Jeżeli ocena wypadnie pozytywnie, system będzie mógł znaleźć zastosowanie w innych jednostkach RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

23 kwietnia br. podpisano umowę między Wrocławskim Wydawnictwem Prasowym i Uczelnią, w której obie strony zobowiązały się m.in. do projektowania systemów informatycznych. Porozumienie podpisali: rektor PW prof. dr Tadeusz Porębski i dyrektor WWP Julian Kawalec.

MARIA PESZEK

Artykuł napisano przede wszystkim na podstawie materiałów:

1) Edward ACHELNIK: Wielodostępny Abonencki System Cyfrowy. Informator, Wrocław 1973 Politechnika Wrocławska — Zakład Informatyki;

2) Lucjan KIELKOWSKI: Systemy informatyczne w działalności wydawniczej Wrocławskiego Wydawnictwa Prasowego, „Prace Naukowe Instytutu Cybernetyki Technicznej P.Wr.” 1973, nr 8.



Fot. J. OLEK

**Z
§
NA BAKIER**



ABSOLWENCI 1954 - ROCZNIK 1954

19 kwietnia odbył się zjazd absolwentów Wydziału Budownictwa Lądowego, którzy 25 lat temu otrzymali indeksy w Politechnice Wrocławskiej. Inicjatorem i organizatorem zjazdu był obecny Dziekan Wydziału Budownictwa doc. Zdzisław Bodarski z grupą kolegów. Otwarcia zjazdu dokonał J.M. Rektor Politechniki prof. Tadeusz Porębski. Na 105 absolwentów Wydziału Budownictwa Lądowego z roku 1954, w zjeździe wzięły udział aż 73 osoby.

Celem prześledzenia ich losów przeprowadzono wśród uczestników ankietę, która miała dać odpowiedź na wiele pytań dotyczących kariery zawodowej, warunków pracy i życia. Wpłynęło 61 ankiet, z których wynikają następujące dane:

Kariera zawodowa

Większość absolwentów, tzn. ok. 55%, po kilkakrotnej zmianie pracy zajmuje obecnie stanowiska w biurach projektów, ośrodkach projektowo-badawczych, placówkach naukowych itp. Zaledwie 20% pracuje w wykonawstwie, pozostali zaś w różnego rodzaju zarządach, dyrekcjach inwestycji, urzędach terenowych itp. Miejsca pracy zmieniano dość często, co w budownictwie wydaje się zjawiskiem normalnym. Około 33% ankietowanych zmieniało ją co najmniej czterokrotnie, ale jednocześnie 27% pracuje w tych samych instytucjach w których rozpoczynali.

Wielu absolwentów brało udział w realizacji priorytetowych obiektów Polskiego Ludowego takich jak: elektrownie (Turów, Pątnów, Łaziska, Adamów), kopalnie (Turów, Adamów, Kazimierz, Józwin, ROW), zapory w Myczkowcach i w Solinie, stopień wodny we Wrocławku, huty (Nowa Huta, Warszawa) w Zagłębiu Legnickim i przy budowie Portu Północnego.

Wielu z absolwentów pracowało na mniejszych budowach lub mniej eksponowanych stanowiskach, co nie oznacza, by prace ich przynosiły mniejsze korzyści gospodarcze. Pracowali oni przy budowie cementowni, fabryki domów, różnego typu obiektów przemysłowych, budowli wieżowych kominów, zbiorników, obiektów budownictwa mieszkaniowego, obiektów handlowych, sanatoryjnych, stacji uzdatniania wody, mostów, węzłów komunikacyjnych, magistrali drogowych, kolejowych.

Kilku absolwentów pracowało w NRD, CSRS, ZSRR, Jugosławii, Kuwejcie, Libii, Szwajcarii, Francji i Hiszpanii.

Wyrazem uznania za ich pracę są liczne nagrody i odznaczenia, a między innymi: 4 Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski, 28 Krzyży Zasługi, 21 odznak „Zasłużony dla regionu”, 17 odznak organizacji zawodowych oraz 18 innych odznaczeń i medali.

Spośród 61 ankietowanych — 37% to członkowie Partii.

Znaczna część po uzyskaniu I stopnia inżyniera podniosła w tym czasie swoje kwalifikacje zawodowe. Uprawnienia budowlane uzyskało 80% ankietowanych, stopień mgr zdobyło 45%, mimo ogromnych trudności wynikają-



Zdjęcia: K. DUDEK

cych z niedostatecznej w tym czasie ilości kursów magisterskich oraz obowiązujących nakazów pracy uniemożliwiających swobodny wybór miejsca pracy i zamieszkania.

Warunki życia

Większość absolwentów mieszka w dużych ośrodkach miejskich; w miastach wojewódzkich mieszka 75% ankietowanych, a w samym Wrocławiu — 43%. Trzech mieszka stale poza granicami (Kanada, Hiszpania, RFN), a trzech innych przebywa aktualnie na kontraktach w Czechosłowacji, Libii i Kuwejcie.

Model rodziny absolwenta 1954, to rodzina z dwojgiem dzieci (56%). Około 25% posiada jedno dziecko a tylko 10% — troje dzieci. Nikt z ankietowanych, jak dotychczas, nie posiada więcej niż troje dzieci.

Jeżeli miarą zamożności może być posiadanie samochodu lub własnego domu, to są oni ogólnie rzecz biorąc „zamożni”, gdyż ok. 64% ankietowanych posiada własne samochody, a około 40% ma już — własne domki ukończone lub w budowie.

Opinie na temat kształcenia:

Zdecydowana większość ankietowanych, bo ponad 80%, stwierdziła, że w przypadku możliwości ponownego wyboru kierunków studiów wybrałaby zdecydowanie budownictwo. Wielokrotnie podkreślano, że zawód „budowlanica” jest twórczy i atrakcyjny, może on zaspokoić wiele aspiracji, daje widoczne efekty własnej działalności, kształci samodzielność, zmusza do inicjatywy, weryfikuje na co dzień umiejętności i zaspokaja jedną z podstawowych potrzeb ludzkich — potrzebę pożytecznego działania.

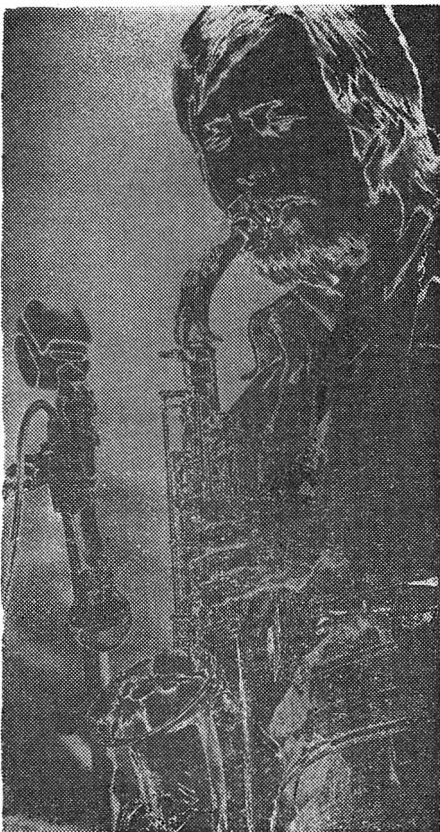
Aż 27 ankietowanych uważa, iż wiedza wyniesiona ze studiów była w bardzo dużym stopniu przydatna w pracy i wystarczała do rozwiązywania podejmowanych problemów. Niektórzy nawet pracujący od lat poza krajem stwierdzają iż zostali bardzo dobrze przygotowani do pracy. Ogólnie rzecz biorąc, wśród braków wiedzy wyniesionej z Uczelni wymieniana się najczęściej braki dotyczące wiedzy praktycznej oraz braki w zakresie takich przedmiotów jak wytrzymałość materiałów, statyka, dynamika, teoria sprężystości,

LIGI INSTYTUTÓW

Wciąż jeszcze są takie dyscypliny życia, gdzie nie wszystko da się zmierzyć czy zważyć. Do takich właśnie dyscyplin należy właśnie kultura, a raczej współzawodnictwo w tej dziedzinie. O tym, jak trudno czasami liczyć na bezstronność sędziów, przekonały mnie półfinałowe rozgrywki Ligi Instytutów między I-2 (Budownictwo) i I-28 (ITA).

Zaskoczona niespotykaną nigdy dotąd fascynującą, pełną fantazji reklamą, zrezygnowałam z popołudniowego koncertu *Jazz nad Odrą* i wyładowałam w hallu C-1. Nauczona doświadczeniem nie liczyłam na specjalne rewelacje i... srodze się zawiodłam. Nigdy jeszcze nie spotkałam na żadnej Lidze tak licznej publiczności spoza Politechniki. Mecz rozpoczął się niefortunnie dla I-2, który na samym początku stracił aż 7,5 pktów, po dyskwalifikacji iluzjonisty. Dowiedziałam się potem za kulisami, że występ tego iluzjonisty był przedtem uzgodniony pomiędzy I-2 i ITA. Mimo to „Budowlanicy” nie załamują się i przy dopingu całej (oprócz ITA) publiczności nadrabiają straty. I pewnie I-2 uzyskałby jeszcze przewagę punktową, gdyby nie... jury. Od momentu tamtej, kontrowersyjnej zresztą, dyskwalifikacji, I-2 dał popis niespotykanej pomysłowości, fantazji i popołtu dawno nie widzianego na tego typu imprezach studenckich. I chociaż, obiektywnie mówiąc, ITA wyszło również kilka niezłych, a nawet lepszych niż u przeciwników numerów, to jednak I-2 bił na głowę współzawodników. Publiczność — nawet ta z ITA — kwi-

Fot. J. OLEK



towała prawie każdy występ I-2 gromkimi brawami. A tak dobrej scenki jak „w kraju kwitnącej wiśni” w wykonaniu budowlanych, dawno już nie widziałam. Przeciwnicy pozostali tutaj daleko w tyle, ale werdykt jury brzmiał 56:5. Do tego dodany został komentarz przewodniczącego składu sędziowskiego: kolega (z ITA — przyp. mój) przekonał mnie, że nie można porównywać DRAMATU z KOMEDIĄ. Widocznie przew. KK RU zapomniał już co nieco z lekcji języka polskiego, więc cytuję za *Małą Encyklopedią Powszechną* (str. 196): »dramat — jeden z trzech gatunków literackich... Jako zasadnicze formy dramatu rozróżnia się tragedię i komedię...« Ale nie tę drobną rzeczową pomyłkę (mylić się jest rzeczą ludzką) miała publiczność za złe jury. Nawet ci z ITA protestowali, a okrzyki, I-2 I-2! miały zwrócić uwagę wysokiej Komisji na popełnioną gafę. No cóż, do zweryfikowania wyniku jednak nie doszło. Tak na marginesie: wydaje mi się, że w gestii jury powinna leżeć możliwość zwrócenia uwagi na, delikatnie mówiąc, niewłaściwe zachowanie ITA. Całym sprzętem zawładnęli elektronicy i oni też decydowali o wszystkim i nikt mi nie wmówił, że mikrofony, (te dla I-2) wyłączały się same, czy też sam wyłączył się telewizor podczas projekcji filmów, które były zresztą niezwykle ciekawą innowacją. Gościnność zobowiązuje panowie elektronicy! Nie należało też do szczytów elegancji używanie wulgarnych określeń, co miało miejsce w wykonanej przez ITA scenie pt. „Budowlaniec przy pracy”. Odwrotnie niż w I-2, gdzie obeszło się bez dosadnych określeń, a nie zabrakło pomysłowości, oryginalności i dużej kultury wykonawczej. Nie mówiąc już o poziomie artystycznym. O przyswoitym dopingu I-2 przez swoich kibiców na skutek złośliwości elektroników nie mogło być oczywiście mowy. Ale werdykt za doping (jak zaznaczono kulturalny!) brzmiał 10:9 dla ITA. Proponowałabym raczej dyskwalifikację.

Ocenie podlegała również reklama i przygotowanie do Ligi. O tym, że będą walczyć budowlani można się było dowiedzieć na każdym kroku. Wystarczyło wyjść w okolice DS-ów, by zauważyć konstrukcję przed XX-latką, czy napisy na chodnikach. A i na Uczelni nie brakło zawiadomień typu: „nie siedz kujonie nad książkami, głosuj za Budowlaniami”. Że nie wspomnę o audycji w ASR. A ITA? Ani widu, ani słychu. Fakt, I-2 wygrało tę konkurencję aż 1 pktm (10:9), więc w zasadzie pretensji być nie powinno... Niewiele tu było co prawda o programie ITA, ale naprawdę nie ma o czym pisać. Oni weszli do finału, więc ich możliwości będzie można sprawdzić samemu (a może się poprawią)? Na razie — nie zachwycili. Za dużo tam było starych, ogranych chwytów, a za mało pomysłowości i własnej inwencji. W sumie pozostał pewien niesmak. W końcu zaczęłam zastanawiać się czy nie lepiej było iść na *Jazz nad Odrą*. Do domu wracałam z grupką kibiców z Uniwersytetu, AR-u i AE. Nie byli to żadni sprawdzeni przeze mnie znajomi, lecz ludzie, których poznałam na miejscu. Całość skwitowali jednym słowem: „skandal”. Cóż, sami o sobie wydaliśmy świadectwo w myśl przysłowia: „jak nas widzą — tak nas piszą”.

Już po napisaniu tego artykułu dowiedziałam się, że uwzględniono protest Instytutu I-2 i przyznano mu możliwość zaprezentowania się w Finale...



braki w zakresie umiejętności projektowania oraz w zakresie wiedzy o zarządzaniu i kierowaniu zespołami ludzkimi. Wymieniono je w zależności od charakteru pracy po studiach, stąd trudno byłoby im przypisywać bardziej ogólne znaczenie.

Zdaniem ankietowanych, w obecnych programach kształcenia na Wydziale Budownictwa Lądowego Pol. Wr. powinno kłaść się duży nacisk na powiązanie podstaw teoretycznych z rzetelną wiedzą praktyczną oraz na teoretyczne przedmioty kierunkowe. Zwraca się również uwagę na konieczność nowoczesnego kształcenia inżynierów umiających podejmować i samodzielnie rozwiązywać napotykane problemy i posługiwać się najnowszymi zdobyczami techniki. Zwrócono również uwagę na konieczność nauki języków obcych. Zdaniem absolwentów nie należy tworzyć na studiach budowlanych zbyt wąskich specjalizacji i specjalności. Stwierdzenie to ma tym większą wymowę, iż wypowiedziane jest po dwudziestu latach działalności zawodowej przez ludzi, którzy otrzymali bardzo wąskie specjalizacyjne wykształcenie.

Zjazd odbył się w niesłychanie serdecznej, koleżeńskej atmosferze. Spotkali się ludzie, którzy dzielili wspólne troski na ławie akademickiej, by teraz porozmawiać po latach. Podkreślano bardzo silne więzy łączące ich, mimo iż już przed dwudziestu paru laty drogi ich się rozeszły. Zadziwiający jest fakt, jak roczniki lat 50-tych były ze sobą żyte mimo różnicy wieku (najstarszy na studiach to rocznik 1916, a najmłodszy — 1933), i mimo różnych ubiorów; od szyneli wojskowych do garniturów „po ojcu”. To były inne czasy i inne studia — znacznie trudniejsze i wymagające od ludzi wzajemnej pomocy; np. semestr kończył się 8 egzaminami i zaliczeniami, co obecnie jest nie do pomyslenia. Jak silne są więzy łączące ludzi z okresu wspólnych studiów, niech świadczy fakt, że jeden z moich profesorów wybiera się obecnie na zjazd absolwentów z okazji 50-lecia uzyskania dyplomu w Politechnice Warszawskiej. Jubileuszu tego doczekało się tylko trzech, ale jada spotkać się w murach swojej uczelni. Życzę i naszej Politechnice takich absolwentów, tak silnie z nią związanych przez całe życie, ludzi, którzy nie zatrząskivaliby drzwiami po otrzymaniu dyplomu.

STANISŁAWA SZULC

W artykule wykorzystano opracowanie ankiety przez Waldemara Paszke.

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

detektory
półprzewodniki
kryształy
ferroelektryczne

Prezentujemy dziś Zakład Fizyki Półprzewodników Instytutu Fizyki, kierowany przez dr Janusza PAWLIKOWSKIEGO. Zakład działa od 1966 roku i aktualnie zatrudnia 16 pracowników naukowych, których średnia wieku nie przekracza 30 lat. Obecnie przedmiotem zainteresowań Zakładu są cztery grupy zagadnień: badania podstawowych zjawisk w półprzewodnikach, detektory podczerwieni, zjawiska kontaktowe na granicy faz metal-półprzewodnik, kryształy ferroelektryczne.

— *Panie Doktorze, badania nad zjawiskami zachodzącymi w półprzewodnikach prowadzone są od dobrych trzydziestu lat. Wydawać by się mogło, że jest to dostatecznie duży przedział czasu na ustalenie procesów zachodzących w tych materiałach. Jaką wobec tego rolę mają badania prowadzone przez Pana Zakład?*

W badaniach naukowych inna jest od powyżej wypowiedzianej prawidłowość rozwoju — postęp w opisanu pewnej grupy zjawisk generuje potrzebę (i często wskazuje jednocześnie drogi) dalszych badań. Fizyka półprzewodników jest w dalszym ciągu dziedziną intensywnie rozpracowywaną. Odkrywane są nowe związki półprzewodnikowe o ciekawych własnościach, a materiały już znane bada się coraz dokładniej, m.in. z wykorzystaniem nowych zjawisk w nich występujących. Istnieje pewna klasa podstawowych parametrów półprzewodników, do badań których używa się na świecie szeregu standardowych metod pomiarowych, jak pomiary efektu Halla, pomiar krawędzi absorpcji podstawowej, widmowej zależności współczynnika odbicia i fotoprzewodnictwa i in. Są to jednak metody pozwalające ustalać bardzo podstawowe parametry i wzajemne ich zależności w badanych materiałach. Jest także znana duża grupa subtelniejszych zjawisk, których zbadanie pozwala w znacznym stopniu poszerzyć stan wiedzy o kryształach półprzewodnikowych. przykładowo wymienię zjawisko Szutnikowa de Haasa, badanie struktury energetycznej poza punktem metodami magnetooptycznymi itp. Są wreszcie takie zjawiska w półprzewodnikach, o których istnieniu jeszcze nie wiemy, a które są i będą dopiero „odkrywane” z roku na rok. I te zjawiska (na ogół w pierwszej fazie opisywane teoretycznie) są źródłem nowych, ciekawych informacji na temat procesów zachodzących w tych kryształach. Stwierdzenie, że o półprzewodnikach wiemy wszystko, że nie warto już się nimi zajmować, świadczyłoby więc o pewnej zarozumiałości z naszej strony.

— *Czy mógłby Pan podać przykład „świeżo” odkrytego zjawiska z dziedziny półprzewodników?*

— *Mógłbym. Myślę przy tym, że jest to jedna z przyczyn naszej rozmowy! Mniej więcej rok temu został zaproponowany teoretycznie nowy efekt dotyczący półprzewodników, których parametry pasmowe (takie jak szerokość przerwy energetycznej, masa efektywna nośników, ich ruchliwość itp.) są funkcją położenia w kryształach. Do odkrycia tego efektu doprowadziło pośrednio duże zainteresowanie trójskładnikowymi kryształami mieszanymi, których typowymi przykładami są CdHgTe i PbSnTe . Kryształy te są o tyle ciekawe, że przez zmianę ich składu molowego można uzyskać zmianę parametrów pasmowych nieosiągalną na innej drodze, np. przerwa energetyczna w CdHgTe zmienia się od $-0,3$ eV dla HgTe do $+1,6$ eV dla CdTe , przechodząc przez zero! Również masa efektywna może się zmieniać w funkcji składu w przybliżeniu o 3 rzędy wielkości. Dla większości ludzi, którym półprzewodnik kojarzy się z krzemem lub germanem, jest to informacja zaskakująca. Jest ona ciekawa również dla fizyków zajmujących się badaniem półprzewodników. Po raz pierwszy bowiem otrzymali do ręki kryształ półprzewodnika, w którym masa efektywna elektronu może się zmieniać o trzy rzędy wielkości na odległości rzędu pojedynczych μm ! Wspomniany wyżej nowy efekt wiąże się właśnie z występowaniem gradientu masy efektywnej w kryształach. Najogólniej polega on na tym, że jeśli prostopadle do kierunku gradientu masy efektywnej istnieje pole elektryczne o częstości ω , równoległe do gradientu masy efektywnej wystąpi pole elektryczne o częstości 2ω . Efekt ten został zaproponowany teoretycznie przez doc. Jerzego Mycielskiego i współpracowników z Uniwersytetu Warszawskiego. Jest to efekt odrobinę podobny do znanego i wykorzystywanego efektu Halla, z tym jednakże, że napięcie w efekcie Halla proporcjonalne jest (w próbie jednorodnej) do koncentracji nośników, a nie zależy od ich ruchliwości, (w nowym efekcie napięcie zależy od ruchliwości, a nie od koncentracji nośników). W trakcie badań epitaksjalnych warstw CdHgTe udało się nam po raz pierwszy uzyskać jego eksperymentalne potwierdzenie. Trudno w tej chwili ocenić znaczenie tego odkrycia, ale można*

z całą pewnością stwierdzić, że zapoczątkowuje ono całą klasę nieliniowych zjawisk optycznych i elektrycznych, związanych z gradientem masy efektywnej i możliwych do zbadania w

— *Panie Doktorze, jak postępuje się przy badaniach nowych efektów i co czuje badacz, gdy jego praca zostanie uwieńczona sukcesem?*

— *Hm, myślę że w sposób w zasadzie standardowy. Po pierwsze, na podstawie pracy teoretycznej ocenia się, w jakich warunkach można uzyskać nowy efekt i stara się takie warunki stworzyć. Następny etap polega na długich i żmudnych pracach doświadczalnych i przypomina może trochę poczekalnię w klinice położniczej. A potem... potem, gdy już zebrane są wszystkie wyniki, badacz zaczyna skakać w górę, z pewnym jednakże umiarkowaniem, bo wtedy jednocześnie dokonuje się krytycznej oceny tego, co zrobiono i szuka tych czynników, które towarzysząc pomiarom, mogły nam efekt zaburzyć, lub co gorzej, wystąpić zamiast niego. Dopiero, gdy okaże się, że nie mamy już wątpliwości co do występowania badanego efektu, można pracę zakończyć, tzn. wstępne wyniki opublikować i zabrać się do „naukowej eksploatacji” nowego zjawiska.*

Jeżeli chodzi o nasze badania, mieliśmy o tyle ułatwioną sytuację, że na wszystkich etapach współpracowaliśmy z właściwym autorem efektu — doc. Mycielskim.

— *Czy nowe półprzewodniki, których badaniom poświęca się tyle czasu, mogą okazać się pożyteczne w produkcji różnych urządzeń półprzewodnikowych?*

— *Kilka lat temu w ramach problemu węzłowego Zakład nasz rozpoczął badania nad technologią detektorów promieniowania w zakresie średniej podczerwieni. Materiałem wyjściowym był wymieniony wyżej kryształ CdHgTe , który oprócz wspomnianej już cechy, jaką jest możliwość regulowania przerwy energetycznej w zależności od składu, zapewniał dwa bardzo istotne przy produkcji detektorów parametry: wysokie ruchliwości nośników i bardzo krótkie czasy ich życia. Prace nad takimi detektorami prowadzone są na całym świecie od ok. 15 lat. Technologia detektorów jest jednak na tyle skomplikowana, że opracowano ją w stopniu powtarzalnym (sądząc z publikowanych w literaturze danych) jedynie w dwóch ośrodkach zachodnioeuropejskich i w USA. Dodatkowo trzeba powiedzieć, że militarna i kosmiczna możliwość zastosowań tych przyrządów powoduje, że technologia jest w szczególności nieznana.*

Aktualnie na „światowym rynku detektorowym” jedyną firmą wykonującą takie detektory „na zamówienie” jest firma Mullard w Wielkiej Brytanii. Na ile tej sytuacji nasze skromne osiągnięcie w dziedzinie wytwarzania detektorów (polegające na opracowaniu technologii uzyskiwania detektorów w warunkach laboratoryjnych w żądanym paśmie długości fal bliskiej podczerwieni) zasługuje na zainteresowanie. Parametry tych detektorów nie są, mówiąc skromnie, gorsze...

— A porównując charakterystyki detektorów firmy Mullard i detektorów uzyskanych w Zakładzie Fizyki Półprzewodników — na pewno nie gorsze od oferowanych przez znaną firmę?

— Detektory te jesteśmy już w stanie wykonywać w partiach sięgających kilkudziesięciu sztuk tygodniowo. Trzeba jednak podkreślić, że dla nas zagadnieniem równie ważnym jak produkt finalny (a może nawet istotniej-

szym) są własności fizyczne badanego obiektu. Z tego też powodu pracujemy aktualnie nad fizycznym opisem zjawiska fotowoltaicznego w naszych detektorach. Badamy to równolegle z badaniem własności elektrycznych i optycznych kryształu CdHgTe i badaniem własności kontaktów metal-CdHgTe. Na tak szerokie prowadzenie badań pozwoliło nam wejście w program Inżynierii Materiałowej. W ramach tego programu osiągnęliśmy np. ciekawe rezultaty w badaniach nad zjawiskami transportu w złączach metal-półprzewodnik i półprzewodnik-półprzewodnik. Interesują nas również badania własności fizycznych niektórych ferroelektryków. Byłoby sprawą nader interesującą wykorzystanie zaobserwowanego w ferroelektrykach zjawiska piroelektrycznego do skonstruowania szerokopasmowego detektora podczerwieni. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że efekty wstępnych badań wskazują na taką możliwość.

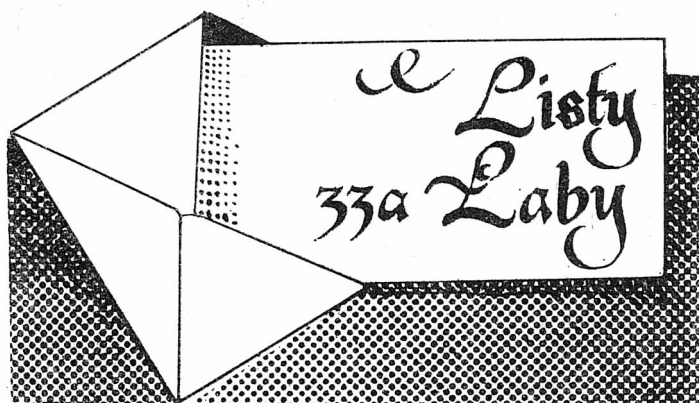
— Czy nie jest to zbyt szeroki wachlarz zainteresowań nałożonych na 16-osobowy i młody w końcu zespół. Czy Pan doktor nie ma zbyt wygórowanych wymagań w stosunku do swoich współpracowników?

— Jest faktem, że w oknach naszych pokoi światła świecą się bardzo długo, ale naprawdę nie wynika to z „fizycznego” przynusu! W organizacji badań wyznajemy pogląd, że podstawową sprawą jest stworzenie sytuacji, w której przekraczanie „normy czasu pracy”, o ile można o takiej mówić, będzie pochodną ambicji i pragnień zrealizowania celu przez samego pracownika, a nie będzie wynikało tylko z formalnie nałożonych na niego zadań.

— Bardzo dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiała:

MAŁGORZATA KRAMKOWSKA



w wolnym państwie Bawarii

[1]

(część III z cyklu
autobusem prez RFN)

Po opuszczeniu Zakładów Zeissa w Oberkochen znaleźliśmy się u wrót ostawionej Bawarii, która miała być dla nas ostatnim ogniwem w łańcuchu naszych turystycznych przystanków. Choć byliśmy już blisko jej granicy, przekroczyć ją mieliśmy dopiero nazajutrz i to po przebyciu dość dalekiej, okrzęnej drogi. Pozwoliła ona nam zetknąć się z malowniczym krajobrazem Schwarzwald oraz zwiedzić stolicę tego regionu — Freiburg. Trasa do Freiburga, choć ciekawa, była jednak dla nas, a przede wszystkim dla kierowcy bardzo wyczerpująca. Stanowiło ją około 400 km wąskich na ogół i krętych szos, którymi pokonywaliśmy wawozy i grzbiety górskie dzielące Freiburg od Oberkochen. Nazwę „Schwarzwald” (ciemny las, czarny las) nadali tej okolicy ponoć jeszcze Rzymianie i to dlatego, że zetknęli się tu z niespotykanym dotąd zwartym drzewostanem, który przez swoje gęste konary nie przepuszczał najdrobniejszego promyka słońca na przebijające się przez las legiony. Kilkadziesięciometrowe, strzeliste świerki Schwarzwaldu posłużyły rzymskim budowniczym do realizacji konceptu owej wspomnianej już w ostatniej korespondencji gigantycznej bazyliki w Trierze, pierwszej chyba w świecie budowli tej miary przykrytej drewnianym stropem. Z rozrzuconych w Schwarzwaldzie kamieniołomów czerpano budulec do większości obiektów wzniesionych przez Rzymian nad Renem i w jego dorzeczu. Niejedna z tych budowli przetrwała do dnia dzisiejszego. Wprost fantastyczne wydaje się, że potrafiono w owych czasach wydobyć z litej skały kilkunastometrowe kolumny ka-

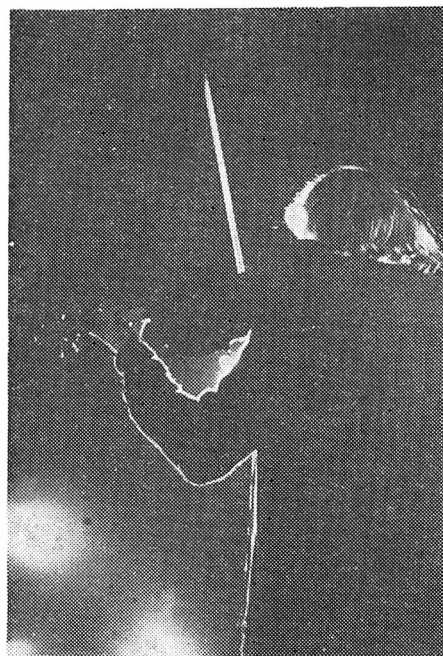
mienne, starannie je następnie obrobić i przetransportować te nielekkie „drobiazgi” na miejsce przeznaczenia. Gdzie to było możliwe, korzystano już wówczas z transportu wodnego — w drodze na barki i z powrotem na ląd musiano jednak dzielnie i skutecznie stawiać czoła konsekwencjom wynikającym z drugiego prawa Newtona oraz prawa grawitacji. Podobał mi się ten i za to należy im się uznanie.

Freiburg mogliśmy zobaczyć dopiero następnego dnia i to na krótko, bo pod wieczór mieliśmy się przecież zameldować na ziemi bawarskiej. W rzeźki, majowy poranek, przy pięknej, słonecznej pogodzie przemierzamy ulice starego miasta. Znowu pstrykają migawki i brzęczą kamery. Na małym rynečku w centrum miasta — barwny jarmark. Stragany pełne owoców i świeżutkich warzyw. Po skromnym, jak zwykle, hotelowym śniadaniu nie mogłem się oprzeć rwącemu oczy widokowi i łechcącemu nozdrza zapachowi kanapek ze znaną i popularną w Niemczech surową wędzoną szynką. Szynka z okolic Schwarzwald jest najwyższą stawianą w tej kategorii wyrobów wędliniarskich. Smakowała rzeczywiście wybornie. Mimo dość wysokiej ceny poprosiłem o repetę i udałem się w kierunku kolejki linowej, która miała mnie wywieźć na wzgórze dominujące nad miastem.

Po drodze spotykam się z ciekawą demonstracją Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt. Celem imprezy jest pokazanie społeczeństwu wielorakich form barbarzyńskiego stosunku człowieka do zwierząt. W szczególności krytykowane są metody tuczu przemysłowego oraz sposób traktowania zwierząt w różnego rodzaju formach hodowlanych. Na dużych fotografiach mających charakter dokumentalny, można więc było zobaczyć tłuste brojlery, którym nie „zdażyło” wyrosnąć normalne upierzenie, świnię w kojcach o wymiarach nie pozwalających im wykonywać najmniejszych ruchów, włoskich myśliwych obwieszonych girlandami maleńkich ptaków, których miliony corocznie zabija się dla samej uciechy polowania — i wiele, wiele innych jeszcze niechlubnych przykładów ze sfery stosunków człowiek—zwierzę.

Ciekawostką we Freiburgu jest również to, że miasto przecięte jest siecią wąziutkich kanałów biegnących wzdłuż ulic, wypełnionych rwącymi strumykami kryształowo czystej wody. W średniowieczu odprowadzano tym oryginalnym systemem kanalizacyjnym ścieki miejskie, obecnie zaś nikt nie waży się sprofanować strumyczków rzuconym ogryzkiem czy zmietnym pudełkiem po papierosach. W ogóle trzeba podkreślić, że czystość i porządek były szczególnie uderzające w tym mieście. Stojąc na obszernym tarasie, na który przetransportowała nas gondola wspomnianej już kolejki linowej, mogliśmy objąć wzrokiem niecodzienną panoramę i podziwiać stojącą w centrum piękną, gotycką katedrę tzw. „Münster”. We fragmentach obfotografowaliśmy ją z ulic i bram prowadzących do placu, z którego strzela w niebo smukłymi wieżami. Całe jej piękno podziwiać jednak można tylko z perspektywy tarasu, będącego równocześnie punktem wyjściowym do spaceru alejkami biegnącymi zбочem pośród soczystej zieleni liściastych drzew. Nie mogliśmy sobie pozwolić na luksus choć krótkiego spaceru. Trzeba było wracać do autobusu i ruszyć w dalszą drogę. Jej celem i kolejnym miastem etapowym miało być Lindau, miasto leżące na południowo-wschodnim brzegu Jeziora Bodeńskiego — już w wolnym państwie bawarskim.

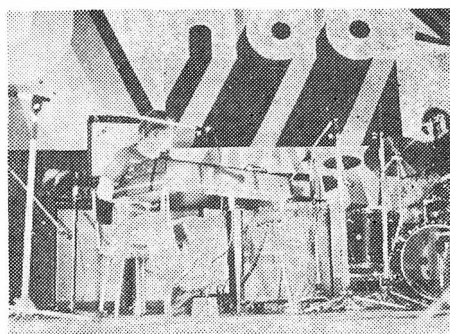
Wasz sfrustrowany
Chimek



JAZZ 75

nad Odrą





fotoreportaż Wojciecha Kozaka



moje trzy grosze

Po raz pierwszy od kilku lat wystąpiłem na JnO jako prywatny obserwator (muszę przyznać, że nie żałuję tego), nasz Jazz stał się bowiem zupełnie „normalnym”, profesjonalnym festiwalem, zatracił swą niepowtarzalną atmosferę, a i publiczność już jakaś inna. Prawdopodobnie taka jest prawidłowość życia każdej „spontanicznej” imprezy i za późno już na rozdzieranie szat nad mogiłą tego festiwalu. Nie mam zresztą najmniejszego zamiaru tego czynić. Coraz bardziej uderza mnie inna rzecz: ceny biletów rosną z roku na rok w zaskakujący sposób. Praktycznie nie uświadczysz biletu poniżej pięciu dych. W sam raz na „jazzowo-studencką” publiczność, prawda?

Kuluary każdej z imprez zaczynają coraz bardziej wyglądać na maszynę do robienia pieniędzy. Wszędzie reklamy — „polski len”, „Polmos”, „Poldrób” i Bóg-wi-co-jeszcze; gruntu, że wszyscy płacą. Kupić można wszystko, od cystej z pepsicolą, po dżinsy z Legnicy. Nie mówiąc już o takich drobiazgach jak zwykłe podkoszulki („firmowe”) i płócienne worki („firmowe”) po ok. stówie sztuka. Czysty biznes!. Do tego należy dodać automaty w Hali Ludowej. No i mamy prawdziwy quasi-zachodni jarmark. Wszyscy robią pieniądze, niektórzy je tracą, gruntu, że interes hula. Mniejsza o jazz, tego można w ostateczności posłuchać z płyt, prawda?

WOJCIECH KOZAK

Panie, my swoi tankisty...

Ludwik Polański

Zgodnie z rozkazem dowódcy 8 pp natarcie z podstaw wyjściowych wzdłuż drogi między wsią Altmädschwitz a Weumadewitz na wał przeciwpowodziowy Starej Odry rozpoczęło się po kilkuminutowym przygotowaniu artyleryjskim o godz. 15. Sygnałem do ataku dla piechoty było przejście przez jej ugrupowanie kompanii 56 czołgów. W momencie ich przekraczania podano dodatkową komendę „Do ataku — NAPRZÓD”. Zanim to nastąpiło, moje trzy karabiny maszynowe i takie same działające na prawym skrzydle natarcia pułku, którymi dowodziła 19-letnia dziewczyna w stopniu chorążego — Maria Górniak, solidnie ostrzelały obiekt ataku. Teren, przez który mieliśmy nacierać, był równy jak stół. Właśnie tam na wale ochronnym Niemcy wykorzystując jego wysokie położenie rozbudowali liczne stanowiska ogniowe dla piechoty i broni maszynowej. Nieco w głębi, na wzgórzach wsi Rathsorff, rozmieścili artylerię i moździerz. To zapewniło im przewagę nad nami.

Kompanie strzeleckie wyskoczyły z podstaw wyjściowych zaraz za czołgami, a karabiny maszynowe o parę metrów za nimi. Wszystko szło normalnie jak na ćwiczeniach, dopóki nieprzyjaciel siedział cicho. Kiedy tyraliery przeszły już połowę drogi i zbliżały się do celu, runęła na nas lawina nieprzyjacielskiego ognia z artylerii, broni maszynowej i strzelców wyborowych. Czarny dym zmieszany z ziemią zasłonił nacierających. Nisko nad ziemią utworzyła się istna siatka z kul, bo obie strony strzelały gęsto. Najgroźniejsze okazały się rozrywające się nad nami szrapnele. Odłamki tych pocisków skosiły niejednego z nacierających. Reszta piechoty zaległa. Kilkakrotne próby podniesienia się do ataku nie dawały rezultatów, gdyż nie udało się wcześniej obezwładnić środków ogniowych wroga. Najdalej pod wał podeszły czołgi. Ale same bez piechoty niewiele mogły zrobić. Jeden z nich, trafiony z działa przeciwpancernego, zrobił pół obrotu i znieuchomił. Z załogi nikt nie próbował się ratować. Na mnie zapolował strzelec wyborowy. I tak, wśród zabitych i rannych wpadłem do leja po pocisku artyleryjskim, a w parę chwil później dołączył do mnie jakiś zbłąkany, nie pierwszej już młodości żołnierz. Nad naszymi głowami, jakby ktoś trząskał z bata, rozrywały się kule niemieckiego strzelca wyborowego. W tym też czasie miarowo co parę sekund, raz przed nami, to znowu z tyłu lub z boku rąbał grubszy kaliber, wyrzucając w górę fontanny ziemi. Kiedy któryś tam z rzędu pocisk krótko świsnął nad naszymi głowami i spadł o jakieś 50 metrów za nami, obejrzałem się i rzuciłem okiem na mojego współtowarzysza. Milczący dotąd żołnierz zaczął do mnie od słów: „Panie chorąży (taki wówczas miałem stopień wojskowy), jestem ogłuszony. Nie słyszę ani przelotów pocisków, ani ich wybuchów. Zawsze w takiej sytuacji staram się być przy kimś i zachowuję się tak, jak ten ktoś. Więc w tym przypadku patrz na pana, a kiedy pan chowa głowę niżej to oznacza dla mnie, że i ja muszę się czołgać”.

Głuchy, z istniejącego niebezpieczeństwa niewiele sobie robił i opowiadał dalej, jak to w 1939 r. od bombardowania ogłuchł, a teraz w 1944 nie chciał przyjąć do wojska. Ale on się uparł i postawił na swoim, bo chciał z nimi wyrównać porachunki za wrzesień.

Mimo, że czujnie obserwowałem pole walki i byłem dobrze ukryty, przez dłuższy czas nie mogłem zrozumieć dlaczego tak na nas uwiązał się niemiecki strzelec wyborowy. Szukając przyczyny, spojrzałem jeszcze raz do tyłu na mojego rozmówcę. Zawziętość strzelca stała się dla mnie jasna, gdy zobaczyłem na głuchym żołnierzu worek (plecak), który wystawał mu nad wykopem i on to właśnie stał się celem dla snajpera, ale żołnierzowi nic się nie stało. Dopiero zmrok wybawił nas obu z tej opresji.

Z rozkazu wyższych przełożonych swoje stanowiska przekazał mi żołnierzom z 7 pp, a my pod osłoną nocy mieliśmy się udać na inny odcinek frontu.

W momencie, gdy od łącznika przyjmowałem rozkaz do-

wódcy kompanii o złuzowaniu mnie przez inny pluton, do okopu wskoczyła do mnie Marysia z zapytaniem „a co zrobimy z czołgistami?” Przecież nie możemy odejść nie ubezpieczając się o ich losie. Tak też zaczęliśmy się spierać kogo wysłać do rozbitego T-34. Po krótkiej naradzie uzgodniliśmy z Marysią, zresztą inaczej mi nie wypadało, że po czołgistów pójdę ja. Wziąłem od niej pepeszę i sprawdziłem zawartość magazynka. Na odchodnym Marysia klepnęła mnie w ramię i w ostatnim spojrzeniu w moją stronę dodała: „Tylko wracaj”. Pograżyłem się w ciemnościach kwietniowego wieczoru. Szybko minąłem swoich i wkrótce znalazłem się między dwoma frontami — na ziemi niczyjej.

Cielsko unieruchomionego czołgu dostrzegłem z odległości ok. 70 metrów, na chwilę zatrzymałem się nadśledzując. Od strony naszych dochodził szcęk broni i komendy, od strony nieprzyjaciela — dobrze znane mi słowa „Hans komm hier”. Koło czołgu panowała martwa cisza. Nagle przede mną, jakby spod ziemi wyrosły czarne postacie. Błyskawicznym ruchem cofnąłem zamek, gotów wypuścić serię. Jednocześnie półgłosem zawołałem „stój, kto idzie”. „Panie my swoi, tankisty” odpowiedział jeden z nich. Jak później się okazało, był to dowódca rozbitego wozu. „Podejdźcie bliżej” — rozkazałem. Kiedy stanęli przede mną o jakieś cztery kroki, powtórzyłem „stój” — co posłusznie uczynili. Na tle jaśniejszego od ziemi nieba, po helmofoonach rozpoznałem swoich. Było ich czterech. Podeszedłem do nich, by ich przekonać się z kim mają do czynienia.

— Gdzie jest piąty? — spytałem

— Zabity, pozostał w czołgu — padła odpowiedź.

— A może tylko ranny, więc wróćcie się ze mną, to wyciągniemy.

— Nie, nie ma potrzeby wracać. Gdyby żył, zabralibyśmy go ze sobą — odpowiedzieli.

Kiedy oznajmiłem im, że przyszedłem po nich, z radości uściskali mi ręce, a potem musiałem wysłuchać kilku gorzkich uwag za niepowodzenie w natarciu, za rozbity czołg i w ogóle za wszystko, co działo się na tym polu między 15.00 a 20.00. Naszą dość głośną rozmowę widocznie usłyszeli hitlerowcy. Wystrzelili rakietę i posłali w naszą stronę kilka krótkich serii z karabinu maszynowego. To nas pogodziło i przygwoździło do ziemi. Na znak zgody obiecałem przeprowadzić sojuszników bezpiecznie przez front naszych wojsk do sztabu 8pp, a oni oddali mi kilka granatów F-1 i wysypali pół torby połowej amunicji do pepeszy.

Mimo panującej wokół ciemności dostrzegłem, że są w opłakanym stanie. Wszyscy czterej byli pokrwawieni i pobandażowani. Jeden skrzył się na wybite oko, inny na ramię, trzeci i czwarty mieli pozawijane głowy. Pięciogodzinne siedzenie w rozbitym czołgu o kilkadziesiąt metrów od nieprzyjaciela dokonało swojego. Staniąli się już dobrze na nogach, gdy zabierałem ich za sobą. Oni z ran i z wyczerpania. Ja pod ciężarem ofiarowanej mi amunicji i ze zmęczenia.

Za kierunek powrotu obrałem sobie lewy skraj dopalającej się stodoły. Szliśmy ostrożnie, cicho, co parę kroków przypadając do ziemi z powodu oświetlenia terenu przez przeciwnika. Im bliżej było swoich, tym większa ogarniała mnie trwoga o to jak nas przyjmą. Było nas w gromadce pięciu, nasi mogą się pomylić. Szedłem pierwszy, a moi podopieczni zaraz za mną. Widzieliśmy jak w świetle łuny nasi pośpiesznie kopali okopy. Nagle pod nogami usłyszałem krótkie „obejść w lewo”. Stałem jak wryty, gdy na metr przed sobą zobaczyłem łufę karabinu maszynowego wycelowanego w naszą grupę, a przy karabinie — celowniczego z palcem na spuście. Było to wysunięte stanowisko o kilometr przed przednim skrajem naszych wojsk. Leżący obok kapral wstał i zameldował, że to z rozkazu chorążego Górniaczek, przyszedł na wszelki wypadek na ten odcinek, byśmy przeszli bezpiecznie. Kapralowi podziękowałem za troskliwość i udałem się do chaty, gdzie rozlokowany był sztab mojego pułku.

Przed wejściem do parterowego domku zatrzymał nas wartownik. Ze sztabu wyszedł oficer operacyjnego pułku. Pożegnałem się z czołgistami i udałem się w umówione miejsce, gdzie czekała na mnie Marysia i moi ludzie. Swoją drogą znalazłem na drodze wśród formujących się do odmarszu pododdziałów pułku. Pozbierała go wraz ze swoim plutonem Marysia. Niestety bez dwóch drużyn, po jednej z mojego i jej plutonu z przerzeczonymi obsługami karabinów.

Solidnie poturbowani maszerowaliśmy całą noc, by przed południem w oznaczonym czasie przejść przez most kolejowy w mieście Wriezen. W czasie tego przemarszu wraz z Marysią pomagaliśmy żołnierzom ciągnąć ckm-y, nieść skrzynki z amunicją. Zastępowaliśmy brakujących. Idąc obok siebie przez kilka godzin nie zamieniliśmy ani słowa. Oboje przeżywalimy bitwę krótką, lecz zaciętą. Dopiero nad ranem, po dłuższym postoju przy śniadaniu zapamięliśmy kilka zdań dotyczących niewiadomych czekających nas zadań.

Sztuka na jeden kęs

Nie mogę wyjść z podziwu obserwując jak Pani Helena wprawnym ruchem nakłada majonez na nie kończące się szeregi sałatek. Za chwilę powędrują one do 5-ciu klubów Politechniki. Od godziny 9,00 zaczęły się po nie dobijać niezliczone rzesze konsumentów, a na zegarku 8,30 — trzeba się spieszyć!

Pani Helena Kranc już od 7 lat pracuje na Politechnice. Wykonuje całą garmażerkę dla klubów. Praca to ciężka i wymagająca nie tylko dobrego opanowania sztuki kulinarnej, ale i inwencji. Nawet zwykła sałatka może stanowić małe dzieło sztuki, jeżeli jej przygotowanie będzie poparte wy-



obrażnią. Codziennie p. Helena „tworzy” 1000 do 1300 porcji, które z ape- tytem zjadane są przez pracowni-

ków naszej Uczelni. Repertuar jest bogaty i urozmaicony: sałatki, befsztyki, kotlety mielone, steki, krokiety, barsz- czyki, galaretki, jajka w sosie, czasem nawet wątróbka i ozorki — wszystko to jest dziełem p. Kranc i współpracu- jącej z nią p. Rychel. Żeby przysto- wać bogaty zestaw garmażerki p. Kranc już o godzinie 5,00, 6,00 rano musi stawiać się w pracy. Nie korzy- sta z żadnych półproduktów. Nawet majonez uciera ręcznie. Do godziny 9,00 wszystko musi być rozparcelowane po klubach. Potem p. Helena przygotowu- je zestaw na dzień następny. Kroi jar- zyny do sałatek, przygotowuje bar- dziej codzienne zestawy potraw. Z pra- cy wychodzi na ogół o godz. 16,00, 17,00. Mimo trudnych warunków w ja- kich pracuje (nie ma nawet odpowied- niej ilości stołów żeby rozłożyć przy- gotowane produkty), zawsze doskonale wywiązuje się ze swej pracy. Jest lu- biana, ceniona — i to chyba pozwala Jej wytrwać. „Pani Garmażer” nigdy nie odmawia nikomu, gdy trzeba przy- gotować dodatkową ilość porcji. Zaws- ze chętnie poświęci dodatkową godzi- nę swojego czasu.

DOR

nasi najlepsi



Janusz MISIE- WICZ — student IV roku WPPT, dwukrotny laureat Konkursu Kopernikowskiego. Średnia za ostat- ni semestr — 4,88, rekordowa — 4,95. Od tego roku studiuje według indywi- dualnego progra-

mu studiów. Na tak wspaniałe wyniki Janusz ma bardzo prostą receptę. Na- leży wyznaczyć sobie cel i później nie szcędząc pracy, uparcie do niego dą- żyć. Chwilowo można nie mieć szczę- ścia, ale wcześniej, czy później takie postępowanie daje wyniki. Dla niego naczelnym takim celem jest poznanie mechanizmów działania otaczającej go rzeczywistości. Daje mu to fizyka z jej metodą opisu przyrody. Zajmuje się fi- zyką półprzewodników i obecnie z tego tematu przygotowuje referat na sym- pozjum kół naukowych w Katowicach. Teatr, film i literatura to jego hobby. Przede wszystkim jednak — dobra książka, na którą nie żałuje czasu ani pieniędzy. Czasu wolnego nie ma zbyt wiele. Zajmuje go bowiem praca społeczna. Wystarczy tylko spoj- rzeć na jego dotychczasową działal- ność, której początki datują się już od pierwszego roku. Przewodniczący GD, następnie sekretarz RI, v-ce przewo- dniczący RI, przewodniczący Komisji Organizacji RI. Aktualnie jest v-ce przewodniczącym koła fizyków SNS oraz wchodzi w skład USK.

B. J.



Kazimierz KON- DEK jest studen- tem V roku Wy- działu Elektro- niki. Średnią za ostatni semestr ma wysoką — 4,86. Otrzymał trzy nagrody rek- torskie. W swo- jej grupie jest najlepszym stu- dentem i kolegą, toteż nikogo nie zdziwiło jego zwycię- stwo w Konkursie Kopernikowskim. (2 miejsce w I-21). Obecnie piastuje funkcję przewodniczącego Koła SNS-u i jest członkiem Prezydium Rady In- stytutowej. Już od początku studiów jako członek teatru *Persona* brał czyn- ny udział w życiu kulturalnym. Na II roku został przewodniczącym Komisji Kultury. W wolnych chwilach nadal zajmuje się teatrem i fotografią. Dobre wyniki w nauce osiąga dzięki maksy- malnej koncentracji na wykładach i wspólnej nauce z przyjaciółmi. Kazi- mierz podpisał umowę z zakładami w Zielonej Górze i aktualnie przysto- wuje pracę dyplomową.

Życzymy mu jak najmniej kłopotów w pracy i szczęścia na nowej drodze życia (niedawno ożenił się).

(osa)



W Instytucie Cy- bernetyki Tech- nicznej znają go wszyscy. Śmiało można powiedzieć, że jest animato- rem życia kulta- ralnego Rady In- stytutowej. Ofic- jalnie — członek Komisji Kultury RI I-6, w rzeczy- wistości — twórca wszystkich programów Ligi Instytu- towej. Jako doskonały konferansjer poprowadził swą drużynę do fina- łów Ligi. To właśnie „druga twarz”

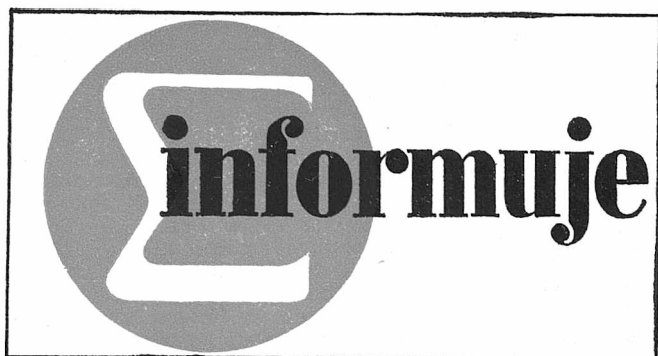
Tomasza SATALECKIEGO, na co dzień wyróżniającego się studenta II roku Studium Nauk Podstawowych Wydzia- łu Elektroniki. Z dotychczasowej nauki ma średnią powyżej 4,5, a z ostatniego semestru uzyskał 4,65. Sporo czasu po- święca współpracy ze studenckimi ka- baretami, zaś za najlepszy relaks uważa grę w brydża (od dłuższego cza- su przymierza się do gry turniejowej). Pytany o zamierzenia naukowe, od- powiada: „Najpierw praca w SNS-ie. Po studiach chciałbym pozostać na Uczelni”. Na razie życzymy dobrych osiągnięć naukowych i owocnej dzia- łalności kulturalnej.

W.K



Przedstawiamy Stanisława WA- SYLKIEWICZA, studenta IV ro- ku Chemii. Swo- je dobre wyniki w nauce (średnia w ostatnim se- mestrze 4,85) za- wdzięcza ciężkiej pracy, studiowa- niu niejednokrot- nie wykraczają- cemu poza ramy szkolnych podręczni- ków. Bez wątpienia jest najlepszym studentem w I-13. Trzy razy otrzymał nagrody J. M. Rektora. Jest dwukrot- nym laureatem Konkursu Koperniko- wskiego. W nagrodę za tak wysokie wy- różnienie pojechał na wycieczkę do Francji. Wiele czasu poświęca też pra- cy w SNS-ie (przewodniczący Koła). Pasją jego życia jest sport pletwonur- kowy (trenuje w klubie *Zorba*). Fascy- nują go podwodne krainy, marzy mu się podróż nad Adriatyk. Chętnie upra- wia też narciarstwo. W każdą wolną sobotę spotkać go można na stoku. Więcej śniegu — to jego prośba do pa- ni aury.

(osa)



Senat

Ostatnie posiedzenie Senatu odbyło się 21 marca br. Omawiane były m.in. następujące sprawy: — wniosek o nadanie medalu *Za wybitne zasługi dla rozwoju Politechniki Wrocławskiej* ministrowi przemysłu Ciężkiego Włodzimierzowi LEJCZAKOWI; — wniosek w sprawie powiększenia grona profesorów, których imieniem nazywane są specjalne premie naukowe dla studentów; — projekt organizacyjnego modelu studiów podyplomowych; — projekt organizacji egzaminu wstępnego; — informacja o współpracy z zagranicą.

Sprawy osobowe

W roku 1974 liczba pracowników Politechniki zwiększyła się o ok. 620 osób. Przyjęto do pracy 1425 nowych pracowników. Odeszły z Politechniki 804 osoby, w tym 48 osób na renty i emerytury.

Habilitacje

Centralna Komisja Kwalifikacyjna zatwierdziła (27.01.75 r.) stopień doktora habilitowanego nadany przez Radę Wydziału Mechaniczno-Energetycznego dr inż. Mirosława WERSZKO z Instytutu Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów.

Wystawy

W kwietniu br. Dział Wystaw i Targów urządził następującą ekspozycję w dniach:

16 IV — odczyt i prezentacja aparatury elektronicznej firmy austriackiej Hewlett Paccard (sala 241)

8—13 IV — wystawa aparatury elektronicznej wiedeńskiej firmy Rohde—Schwarz—Tektronix (antresola)

21—27 IV — wystawa prac dzieci pracowników Politechniki (antresola).

Konferencje

W dniach 11—13 kwietnia 1975 r. w DW Limba w Karpaczu odbyło się sympozjum wyjazdowe poświęcone sprawom rozwoju młodej kadry naukowej.



W dniach 15—19 kwietnia br. w Międzygórzu odbędzie się sympozjum szkoleniowe asystentów z-ców dyrektorów d/s badań nukowych i współpracy z przemysłem oraz sympozjum szkoleniowe z-ców dyrektorów instytutów d/s administracyjnych.



W dniach 17—19 kwietnia 1975 r. w DW Limba w Karpaczu odbyło się IV sympozjum szkoleniowe inżynierów d/s aparatury.

II Wiosenna Olimpiada Górnicza

Zgodnie z niedawno przyjętymi założeniami, a dziś już tradycją, górnicy rozpoczęli wiosnę od sportowych emocji. 12 IV 75 rozpoczęła się bardzo uroczysta II Wiosenna Olimpiada Górnicza. Odbyło się wiele interesujących rozgrywek w piłce nożnej, siatkówce i koszykówce. Nie zabrakło też emocji dla kibiców tenisa stołowego. Zwolennicy prawdziwie olimpijskich dyscyplin dopinguowali „maratończyków” podczas ich nocnego kryterium ulicznego biegnącego Wybrzeżem Wyspiańskiego.

Mądre i potężne głowy zmagaly się w Wielkim Turnieju Szachowym. Olimpiadę zakończył przygotowany przez górników dowcipny program *Sport na Wesoło*, następnie odbyło się wręczenie nagród zwycięzcom i Wielki Bal Sportu. 5 IV 75 nastąpi otwarcie wspaniałej wystawy (Antresola A-1) pt. Wiosenna Olimpiada Górnicza. Zachęcamy do jej zwiedzenia.

(Joko)

Konkurs Kopernikowski

Konkurs Kopernikowski na naszej Uczelni ma już swoją tradycję. Rokrocznie wybieramy najlepszych studentów w grupach i instytutach.

Konkurs jest powszechny i opiera się na regulaminie wypracowanym przez RU SZSP. Obliczanie punktów odbywa się po zakończeniu roku akademickiego, a punktuje się naukę, działalność społeczną i koleżeńską.

Właśnie niedawno zakończona została kolejna edycja Konkursu Kopernikowskiego. 8 marca odbyło się uroczyste wręczenie medali i odznak im. Mikołaja Kopernika zwycięzcom instytutowym.

Na miłym spotkaniu prymusi gościli JM Rektora prof. dr hab. inż. Tadeusza POREBSKIEGO, I sekretarza KU PZPR doc. dr Alfreda DZIENDZIELA i Dyrektora Pionu d/s Studenckich doc. dr Jana KOŚMIDRA.

Laureaci Konkursu Kopernikowskiego

Medale otrzymali: Robert KUDEŁA I-6, Adam GOLI-SZEK I-13, Lucjan JACAK I-9, Jerzy MARCINKIEWICZ I-16, Zdzisław OLEJCZYK I-21.

Złote Odznaki im. Kopernika otrzymali: Szczepan ROSZAK I-4, Alicja KONOPKO I-8, Ryszard KABAT I-11, Stanisław WASYLKIEWICZ I-13, Joanna LERCHER I-26, Bogdan NYKIEL I-21, Wacław SEREDYNIECKI I-7.

Srebrne Odznaki im. Kopernika otrzymali: Regina MARGA I-1, Czesław Bielawski I-2, Stanisław GRYDLEWICZ I-3, Alfred KAIZIK I-5, Krzysztof BROŚ I-10, Andrzej KALIŚ I-6, Zdzisław Miros I-13, Andrzej PAWŁOWSKI I-14, Andrzej BARTCZAK I-5, Zygmunt WISNIEWSKI I-18, Janusz WITEK I-19, Bolesław DOBROWOLSKI I-20, Waldemar BROL I-23, Wacław SKOCZYŃSKI I-24, Janusz WIERYŃSKI I-25, Andrzej JĘDRCZAK I-27, Czesław MICHALIK I-28, Andrzej POL I-29.

(joko)

Inwestycje

Inwestycje budowlane rozpoczęte:

— budynek mieszkalny na 54 mieszkania przy ul. Łaciarskiej. Wykonawca — Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego „Stare Miasto”;

— hala technologiczna instytutów I-26 i I-27 o kubaturze 7.500 m³. Wykonawca — Zakł. Remontowo-Budowlany Politechniki Wrocławskiej;

— stołówka dla studentów i pracowników o kubaturze 18.000 m³, przy zbiegu ulic Smoluchowskiego i Wyb. Wyspiańskiego. Wykonawca — Wrocławskie Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego;

— Zakład Przeróbki Plastycznej Metali dla I-24 przy ul. Łukasiewicza 7, o kubaturze 5.000 m³. Wykonawca — Zakł. Remontowo-Budowlany Politechniki Wrocławskiej;

— hale sportowe dla Studium Wychowania Fizycznego, ul. Chełmońskiego. Kubatura 10.000 m³. Wykonawca — Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego „Południe” (II etap);

— rozbudowa pawilonu Instytutu Architektury i Urbanistyki przy ul. Prusa. Kubatura 1377 m³. Wykonawca — Przedsiębiorstwo Budownictwa Miejskiego „Południe”.

Z życia Klubu Oficerów Rezerwy

23 marca br. odbyło się kolejne spotkanie członków KOR przy Politechnice Wrocławskiej. Zakończyło się ono strzelaniem na Oznakę Strzelecką. Punkty na odznakę zdobyli: prof. Tadeusz Batycki, dr Kazimierz Boroń, dr Stanisław Bogdał, dr Romuald Będziński, doc. Ryszard Gotszalk, mgr inż. Jerzy Kisilewicz, mgr inż. Tadeusz Kunicki, por. rez. Marian Orłowski, inż. Stanisław Rudnicki, doc. Ryszard Sikorski, prof. Karol Tworowski, mgr inż. Jerzy Tymczuk.

W konkurencji nr 2 kbks najlepszym strzelcem był R. Gotszalk, który na 150 pktów możliwych, wystrzelał 120.

W konkurencji nr 1 w kbks najlepszymi byli: R. Sikorski — 48 pktów, R. Będziński — 47 pktów, S. Rudnicki — 44 pkt. Na dwudziestu strzelających, dwunastu zdobyło wymaganą ilość punktów na Brązową Odznakę Strzelecką.

Najmłodszym strzelcem, liczącym zaledwie 10 lat, był Maciej Rudnicki. W strzelaniu nr 1 z podpórka wystrzelał 53 pkt. na 80 możliwych.

L.P.

Niesygnowane notki pochodzą z biuletynu „Informacja Bieżąca” Politechniki Wrocławskiej

SERWIS INFORMACYJNY RU SZSP

7 kwietnia br. w auli P. Wr. odbyło się plenum ZW SZSP poświęcone aktualnym problemom sportu masowego i kwalifikowanego w środowisku studenckim. Uchwałą plenum postanowiono: zaktywizować współpracę na linii AZS — SZSP, rozwinąć działalność klubów o charakterze turystyczno-sportowym (żeglarstwo, kolarstwo), narciarstwo), pełniej wykorzystywać bazę i sprzęt turystyczny.

*

W dniach 14—19 IV br. w Warszawie obradowała Ogólnopolska Konferencja Dziennikarzy Studenckich, na której omówiono dotychczasowe osiągnięcia studenckiego ruchu dziennikarskiego oraz wytyczono kierunki dalszej działalności. W obradach udział wzięło pięciu przedstawicieli naszej Uczelni (co stanowiło 45% delegacji wrocławskiej).

*

W ramach współpracy z zakładami pracy RF SZSP w Świdnicy zorganizowała spotkanie z dyrektorem ZEM mgr inż. R. Urbańczykiem. W spotkaniu przedyskutowano m. in. ewentualne formy zatrudnienia przyszłych absolwentów oraz ostatnie osiągnięcia światowe w dziedzinie elektromotoryzacji.

*

„Gramy w piłkę z podpisami Rady Mieszkańców“ to cykliczny turniej wiedzy o wydarzeniach sportowych minionego miesiąca organizowany przez Radę Mieszkańców DS T-8.

*

Nasza mała flota

Już od 3 miesięcy działalnością sekcji żeglarskiej kieruje nowy zarząd. Komandorem jest Piotr Stachowiak, a jego zastępcami — Teresa Owczarek i Julek Statkiewicz. Funkcję bosmana i opiekę nad sprzętem powierzono Tomaszowi Dudkowi. Niestety sprzętu nie mamy zbyt wiele — zaledwie 4 łódzie, zaś KU AZS nie może w tym roku pomóc w zakupie nowych jednostek; wodniacy otrzymali tylko 2 komplety nowych żagli. W porównaniu z Klubem Żeglarskim AE, który dysponuje flotą złożoną z 18 łódek, jesteśmy bardzo ubogą sekcją. A przecież kursy na sternika jachtowego i żeglarskiego największym powodzeniem cieszą się właśnie na Politechnice. Uczęszcza na nie około 150 osób, liczba nie notowana na innych uczelniach. Cztery obozy, które będą zorganizowane w lecie, to na pewno za mało, by mogli z nich skorzystać wszyscy chętni. Cała nadzieja w Środowiskowej Radzie Żeglarskiej, którą powołano w celu koordynacji działalności klubów uczelnianych. Miejsca na obozy mają być rozdzielane centralnie, a o kwalifikacji na obóz zadecyduje praca na rzecz sekcji. Nie jest więc wykluczone, że część naszych żeglarzy wypłynie w rejsy razem ze studentami AE czy Uniwersytetu.

Możliwości wykazania się pracą nie brakuje. Niektórzy wzięli udział w przygotowaniach do Balu Żeglarza, który odbył się 8 marca. Wiosną czekają nas kolejne imprezy, w których organizacji będzie uczestniczyć nasza sekcja. Będą to Rejsy po Odrze, Regaty pod Mostami Wrocławia, Antyregaty (będzie w nich uczestniczyć wszelki sprzęt pływający), konkurs fotograficzny, konkurs na plakat. W kwietniu rusza pierwszy „ekspres-żagle“ nad jezioro w Bożkowie. Myślę, że te sobotnio-niedzielne wyjazdy przysporzą sekcji nowych zwolenników tego pięknego sportu i nowych kłopotów z zapewnieniem odpowiedniej ilości sprzętu.

APis

Kolejny „Wieczór ze świecą“ zorganizował II rok ICT. Dlaczego „ze świecą“? O, to jest słodka tajemnica uczestników, ale zabawa była ponoć udana.

*

Ten sam Instytut 22 marca zorganizował seminarium informacyjne o Zakładach Naukowych Instytutu Organizacji i Zarządzania oraz ICT.

*

I Mistrzostwa DS T-8 w podnoszeniu ciężarów odbyły się w marcu i kwietniu. Jest to impreza mająca na celu poszerzenie zasięgu sportu masowego, a boje odbywają się w następujących konkurencjach: wyciskanie leżąc, martwy ciąg i przysiad z ciężarem. W imprezie udział wzięło 30 mieszkańców akademika.

*

Z inicjatywy nowo powstałego Klubu Instytutowego AZS przy I-23 12 kwietnia odbył się bieg sztafety „I-23 po zdrowie“. KI AZS przejął działalność Komisji Sportu RI.

*

„Puchar Pięter“ to kolejna (i to nowatorska) impreza sportowa zorganizowana przez Komisję Sportu DS T-8. Jest to spartakiada rozgrywana na terenie akademika w konkurencjach: siatkówka, piłka nożna, podnoszenie ciężarów, tenis stołowy, „Fosbieg“ — czyli tradycyjna walka o puchar przew. R. M.

*

RS „Fosa 64“ ma nowe kierownictwo. Szefem studia został Krzysztof KUŁAKOWSKI; nad programem czuwa Józef PRADELA, a techniką dyryguje Zbigniew GUMIENNY.

(emes)

Sport

Kwiecień jest miesiącem, który upłynął pod znakiem mistrzostw w różnych dyscyplinach sportu. 11 kwietnia zakończyły się Mistrzostwa Polski Politechnik w Siatkówce Dziewcząt, które rozgrywano w Częstochowie. Zdobywcą tego medalu została drużyna Politechniki Warszawskiej, drugie miejsce wywalczyła Politechnika Śląska, trzecie — AGH. Reprezentacja naszej uczelni zajęła 4 miejsce po porażce 0:3 (—12, —11, —9) w ostatnim meczu z AGH.

*

Siatkarze AZS PW rozegrali w Trzebnicy z miejscowym MLKS-em 2 mecze o mistrzostwo klasy A. Oba spotkania zakończyły się zwycięstwem studentów 3:0. Do końca rozgrywek pozostały jeszcze 2 rundy. Przeciwnikami AZS-u w najbliższych meczach będą Moto Jelcz Olawa i Juvenia Wrocław.

*

W meczu koszykówki o wejście do II ligi drużyna AZS Wrocław spotkała się w niedzielę (23 marca) z liderem tabeli — Polonią Leszno. W pierwszej połowie akademicy nawiązali równorzędną walkę (przegrali minimalnie 35:37).

Dziesiątka naszych najlepszych na Politechnice

Dorocznym zwyczajem ustalono listę 10 najlepszych studentów — sportowców największej wrocławskiej uczelni. Pierwsze miejsce zdobył Zbigniew Bielawski (IV rok Elektroniki) — członek kadry narodowej i olimpijskiej w judo, aktualny mistrz Polski Politechnik, brązowy medalista Akademickich Mistrzostw Świata w Brukseli. Na drugiej pozycji sklasyfikowano również przedstawiciela judo — Ryszarda Urbanowicza — członka kadry narodowej, mistrza Polski Politechnik, zdobywcę 5 miejsca na Mistrzostwach w Brukseli. Trzecie miejsce przypadło Ryszardowi Piócienniakowi — członkowi akademickiej reprezentacji Polski, który jest już pracownikiem dydaktycznym Politechniki. Na kolejnych miejscach uplasowali się: Ryszard Rasiukiewicz — siatkówka, Andrzej i Tadeusz Stefanicy — piłka ręczna, Ryszard Baran — siatkówka, Franciszek Kupnicki — siatkówka, Krystyna Mylyk — koszykówka, Jan Eichler — koszykówka.

Dla trzech pierwszych KU AZS ufundował puchary, pozostali otrzymali pamiątkowe puchary i dyplomy. Za owocną współpracę z AZS-em wyróżniono także pracowników Studium WF — mgr Annę Lubieniecką i mgr Wincentego Śliwę. Nagrody wręczono podczas Balu Sportowca, który odbył się w klubie AZS-u U Grubego.

Miłośnicy celuloidowej piłeczki

Ping-pong ma wielu zwolenników wśród studentów naszej uczelni. Świadczy o tym zainteresowanie z jakim spotkał się turniej w tej dyscyplinie organizowany w ramach rozgrywek Ligi Instytutów. Jeszcze ciekawszą imprezą były VIII Mistrzostwa Polski Politechnik w Tenisie Stołowym, którym patronował KU AZS PW i Studium WF. Uczestniczyło w nim w dniach od 3 do 6 kwietnia 12 drużyn reprezentujących wszystkie politechniki (z wyjątkiem Politechniki Częstochowskiej, która za późno nadesłała zgłoszenie) i AGH. Zgodnie z przewidywaniami zwyciężyła Politechnika Śląska, zdobywając puchar JM Rektora PWR. W zespole z Gliwic występował najlepszy zawodnik mistrzostw Marek Skibiński — aktualny reprezentant Polski, który bez trudu pokonywał swoich rywali. W klasyfikacji na najlepszą zawodniczkę pierwsze miejsce zdobyła Władysława Wójcik (Politechnika Rzeszowska).

Ekipa wrocławska uplasowała się na trzeciej pozycji przegrywając w ostatnim meczu ze zdobywcami srebrnego medalu — Politechniką Świętokrzyską.

Należy podkreślić bardzo sprawną przebieg zawodów, za co organizatorom należą się słowa uznania.

ANDRZEJ PAWŁOWSKI

Pierwszy był „Kokos”

Zaczęło się od Klubu Kadry Obozów Stałych Kokos. Kiedy? Tego już nie pamiętają nawet najstarsi kadrowcy. Było to ponoć na początku działalności turystycznej studentów środowiska wrocławskiego. Kokos miał na swym koncie wiele sukcesów, ale zdarzały się i błędy. W styczniu 73 r. klub zreorganizowano i od tej pory istniał jako Klub Organizatorów Aktywnego Wypoczynku (KOAW), a jego prezesostwo objął Andrzej Szajkiewicz, obecny prezes Biura Podróży i Turystyki *Almatur*.

W rok później na czele Wrocławskiego Klubu Kadry Obozów Stałych stanął Andrzej Rusko. Do pracy przystąpili nowi ludzie, zaczęły się szkolenia, przyszedł też pierwsze sukcesy. Ale o tym za chwilę.

Pamiętnego dnia 18.03.74 r. klub przyjął nazwę *Vivantur*. Zaproponowała ją jedna z najaktywniejszych dziewczyn w klubie, Władka Pacek. Dlaczego *Vivantur*? Ano z francuskiego *bon vivant* znaczy człowiek umięjący i lubiący używać życia (pozytywnie) i bawić się. Nazwa ta oddaje w dużej mierze nastroj panujący wśród wrocławskich trampów, bowiem umięją oni odpowiednio wykorzystać każdy wolny dzień na wyprawy, obozy i spotkania klubowe.

W kwietniu 74 r. w Szklarskiej Porębie odbyło się I Seminarium Centralnej Rady do spraw Aktywnego Wypoczynku, gdzie przyjęto wspólną nazwę dla wszystkich polskich kadrowców: Akademicki Klub Kadry.

Sukcesy

Dopiero rok działa AKK *Vivantur*, ale może się pochwalić wieloma osiągnięciami. Dość powiedzieć, że w ubiegłorocznej akcji zimowej kadrowcy prowadzili 4 obozy Centralnej Szkołki Narciarskiej, 5 obozów tematycznych, obozów szkoleniowych. W akcji letniej kierowali obozami w Samotni, Mielnie i Łazach.

Sukcesy *Vivanturu* to nie tylko sprawa kilku osób. To praca wszystkich członków klubu, to dążenie do coraz lepiej wyszkolonej kadry, to organizacja obozów na wysokim poziomie, to szeroko pojęta współpraca ze wszystkimi ośrodkami turystycznymi w kraju, to wreszcie nawiązanie kontaktów ze studentami z zagranicy. Dużym osiągnięciem jest fakt, że 13 osób posiada uprawnienia do prowadzenia obozów centralnych.

Szkolić, szkolić...

Dla wszystkich tych, którzy chcą wstąpić do *Vivanturu* prowadzi się seminaria, szkolenia, obozy. Do historii przeszedł już pierwszy kurs szkoleniowy. Rozpoczęło kurs 65 osób po egzaminie wstępnym, ukończyło z wynikiem pozytywnym — 37. Żywo i ciekawie prowadzony kurs zakończony został egzaminem (maj 74), który wbrew oczekiwaniom nie okazał się formalnym zaliczeniem w poczet stałej kadry obozów studenckich. Cztery komisje egzaminowały od przyszłych kadrowców wiadomości dotyczące historii ruchu młodzieżowego i turystycznego, zasad bezpieczeństwa podczas prowadzenia grup turystycznych w różnych warunkach terenowych, buchalterii obozowych i wielu innych wiadomości niezbędnych w przyszłej pracy kierownika obozu. Warunkiem koniecznym dopusz-

raport

Z „VIVANTURU”

Jolanta Kowalik

czenia do egzaminu było oddanie przygotowanego scenariusza imprez rozpoczynających i kończących oboz oraz opracowanie ciekawej trasy turystycznej.

Uroczyste rozdanie patentów wszystkim tym, którzy sprościli wymogom komisji, odbyło się 8.06.74 w klubie „Kuba”. Nie była to pompacyjna uroczystość, lecz miłe spotkanie, które stanowiło jeszcze jeden akcent wspólnej działalności ludzi umięjących się bawić w każdym gronie i organizujących ciekawie czas sobie i innym.

Wszyscy młodzi kadrowcy wyjechali w czasie ubiegłorocznych ferii wiosennych na oboz szkoleniowy do Szwajcarii. Sprawdzili się tam nie tylko w organizacji obozowej. Stanęli na wysokości zadania w chwili pożaru lasów w Janowickich Górach. Dymy nad Sokolikiem ścigały wszystkich znajdujących się w pobliżu turystów, a wśród nich i kadrowców. Widnieje w kronice *Vivanturu* podziękowanie od Nadleśnictwa Śnieżka w Kowarach „za aktywny udział w gaszeniu lasu w Leśnictwie Karpniki”. Potem był duży szkoleniowy oboz centralny w Łazach. Wro-

clawianie stanowili tam jeden z najlepszych podobozów. Po igraszkach na plaży i w wodzie wychodzili wieczorami na ulice „cichociemni” z gitarami i śpiewami, poprzebierani w najbardziej dziwaczne stroje. Nie obyło się także bez Neptuna i wyboru najpiękniejszej, poświęconej groźnemu władcy mórz i oceanów. Tak, to były piękne dni.

Jeden oboz się kończył, zaczynał drugi. Myślę tu o filmowej grupie w Mielnie. Ten oboz został wyróżniony przez Radę Centralną do Aktywnego Wypoczynku jako jeden z najciekawszych i najlepiej zorganizowanych.

Wyprawa po złoto

No i wreszcie stało się. Samodzielna grupa poszukiwaczy złota wyruszyła na akcję *Złotucha 74*. Kiepski stan kieszeni kadry, wzrost cen złota na giełdach i możliwość przysporzenia ojczyźnie cennego kruszcu pchnęły ich na awanturnicze i śliskie ścieżki poszukiwaczy piasków złotonośnych. Uwaga ich skoncentrowała się na rejonie Gór Kaczawskich — starym zapomnianym terenie górniczym, niegdyś bardzo bogatym, w którym jeszcze dzisiaj można natknąć się na stare sztolnie, szyby i płuczkownie. W miejscach, gdzie od dawna zaprzestano już eksploatacji złóż, w ostatnich latach usiłowano wznowić prace wydobywcze. Wyniki ich były ponoć obiecujące, lecz z różnych przyczyn nie ma już poważniejszych robót. Młodzi poszukiwacze złota mogli więc liczyć na szczęście i sukces. Przygotowania zaczęli już w zimie, chłonąc dzieła Agricoli i mineralogię, książki Londona, Twaina, Curwooda, oraz usilnie poprawiając kondycję fizyczną. Pozostało tylko skompletować ekwipunek i dobrnąć na miejsce. Poza zwykłym wyposażeniem biwakowym zabrali też własnoręcznie wykonane płuczki, sita, nosiki, kilofy i oskardy. Na stację poszukiwacze złota wyruszyli cichcem skoro świt, by swoim nieoczekiwanym wyglądem nie wzbudzić zbytnej sensacji i niepotrzebnego zainteresowania. Dość powiedzieć, że każdy niósł blisko 40 kilogramowy bagaż. Dał on się we znaki w czasie marszu. Na miejscu zawrzała dramatyczna walka o najbogatsze działki. Pogodziła ich w końcu kolektywna, prosta, choć znojna

Fot. J. OLEK



praca. Ileż było tam chwil napięć, wzlotów i załamań. Dzisiaj pozostały po nich piękne wspomnienia. A jeśli ktoś spyta, czy znaleźli złoto i ile, usłyszysz w odpowiedzi: ależ skąd, złoto w Sudetach? Ale nigdy nic nie wiadomo, w kronice udało mi się dojrzeć szczerze oklejony zdobyczny kruszec. To zaprzeczenie wydaje się tym bardziej podejrzane, że grozi innym natknięcie się na dobrze uzbrojone czujki. Mimo tej przestrogi warto jednak wszystkim niepoprawnym optymistom, włóczykijom, trampom i im podobnym wziąć udział razem z *VIVANTUR-em* w tej wielkiej przygodzie. Akcja bowiem przechodzi już do tradycji klubu.

Podsumowanie akcji „Lato”

Akiedy skończyły się wakacje, a wraz z nimi liczne obozy, trzeba było podsumować akcję letnią. Odbyło się to w pięknie położonej wśród gór chatce AKF. W dniach od 12 do 13.X.74 r. 40 osób rozpatrywało wykonanie wszystkich zadań i oceniało je. Uradzano też jak ma wyglądać dalsza praca i przygotowania do „wielkiej zimy”. Propozycje i plan pracy przedstawili na zjeździe Centralnej Rady d/s Aktywnego Wypoczynku we Wrocławiu. Efektowne zakończenie zjazdu odbyło się w Sobótce. Wtedy też padły słowa pochwały dla AKK, jako jednego z najaktywniejszych klubów kadry w Polsce. Tak wysokie wyróżnienie zobowiązuje do jeszcze bardziej wyłożonej pracy, systematycznego szkolenia. Właśnie wśród zamierzeń na rok na-

stępny znalazł się na pierwszym planie kurs szkoleniowy dla przyszłych kadrowców. Jest to szkolenie na instruktorów kulturalno-oświatowych, turystycznych, przewodników obozów zagranicznych. Obóz szkoleniowy odbył się zaraz po przerwie międzysemestralnej, gdyż wcześniej było trochę kłopotów

Wybory

Atymczasem odbyły się już wybory do zarządu AKK *VIVANTUR*. Prezesem wybranym znaczną większością głosów, został Andrzej Rusko, a dziś funkcję tę pełni Krzysztof Kozak. Warto też napisać o jego zastępcach. Są to przecież ludzie, którzy pracy w klubie poświęcają cały wolny czas, ludzi, którym zaufali wyborcy. V-ce przewodniczącym d/s organizacyjnych został Andrzej Daroszewski, d/s szkolenia — Janusz Rybak, d/s rekreacji i wypoczynku — Jerzy Grubiak, d/s imprez wewnątrzklubowych — Czarek Pilarzski, sekretarzem — Tadeusz Wyganowski, skarbnikiem — Władka Pacek. Nowy zarząd zebrał się solidnie do pracy, bowiem zbliża się gorący okres dla kierowników obozów studenckich, a mianowicie akcja *Zima*.

To hasło postawiło na nogi wszystkich kadrowców. Rozdzielono kierownictwo obozów, dopracowywano szczegółowo plany. Co przygotował wrocławski AKK na zimę? Większość — to obozy tematyczne. I tak w czasie ferii zimowych wrocławianie prowadzili obozy CSN. W Szklarskiej Porębie zorganizowano obóz brydżowy dla 80 osób,

w Michałowicach dla 40 osób — obóz o tematyce sportowej. W czasie przerwy międzysemestralnej w Szklarskiej Porębie był obóz turystyczno-narciarski z muzyką jazzową.

Karpacz 74

Był to największy tegoroczny obóz centralny z uczestnictwem 450 osób. Trwał on w dniach 22 XII 74 — 2 I 75. W skład obozu weszło 6 podobozów: Lublin, Łódź i Poznań organizowały po jednym, Wrocław — trzy. Kierownictwo powierzono Januszowi Rybakowi z wrocławskiego AKK. 29 XII 74 odbyła się centralna impreza dla mieszkańców Karpacza i Kotliny Jeleniogórskiej. Za obóz ten Wrocławianie otrzymali Puchar Przechodni Rady d/s Aktywnego Wypoczynku ufundowany przez TWP.

Plany

Oprócz utrzymania akcji ubiegłorocznych wrocławski AKK ma w planie: prowadzenie bazy namiotowej na Dolnym Śląsku, w Giżycu i Koszalinie, prowadzenie obozów stałych i pobytowo-wędrownych w NRD, Rumunii, Bułgarii. A w ramach sobotnio-niedzielnego wypoczynku — „ekspres narty” i letnie wyjazdy w góry dla środowiska studenckiego.

No cóż, to tyle byłoby o Akademickim Klubie Kadry *VIVANTUR*. Pozostaje życzyć im wzmoczonej działalności i jeszcze większych sukcesów.

JOLANTA KOWALIK

NOWOŚCI WYDAWNICTW NASZYCH

Dział Wydawnictw Politechniki Wrocławskiej informuje, że w przygotowaniu znajdują się obecnie następujące skrypty i prace naukowe, które ukażą się w II kwartale br.

Skrypty

S. BEDKOWSKI, K. CZARNAWSKI, L. SŁIWOWSKI, Cz. ŻYMALSKI: Fizyka budowli

Z. POCHCIAŁ: Eksploatacja podziemna złóż, t. II

R. GUDERSKI, J. KAMIE-NIECKA, Z. TERESIAK: Elektronika i urządzenia elektryczne wraz z ćwiczeniami laboratoryjnymi

A. WISZNIEWICKI: Laboratorium podstaw automatyki

M. KULISIEWICZ, S. PIE-SIAK: Identyfikacja własności dynamicznych konstrukcji mechanicznych

P. KOCIATKIEWICZ, W. KOMOROWSKI, R. PAWESKA: Laboratorium cyfrowej techniki obliczeniowej, cz. 2

L. MARTAN: Proesy inwestycyjne

B. SYNAL, A. SCHIER: Laboratorium elementów automatyki zabezpieczeniowej

Z. SAMSONOWICZ: Atlas maszyn i urządzeń odlewniczych

A. DOBRUCKI, W. SULKOŃSKA: Zbiór zadań z podstaw elektroakustyki

E. PIEGAT: Elementy analizy funkcjonalnej oraz teorii miary i całki Lebesgue'a

J. STANKO: Biblioteki programów i podprogramów WASC

J. MASZUMANSKI, A. SZYCHER: Materiały do ćwiczeń z procesów inwestycyjnych

Prace naukowe

Z. BOKUN: Racjonalne przesłanki projektowania budynków, Pr. Nauk. Inst. Arch. PWR. Nr 8 Monografie Nr 4

Z. KOWAL: Przestrzenne struktury warstwowe z węzłami tłoczonymi, Pr. Nauk. Inst. Bud. PWR Nr 15 Monografie 5

PRZEMIANY węglowodorów C10 w obecności katalizatorów kobaltowo-molibdenowych, Pr. Nauk. Inst. Chem. Technol. Nafty PWR Nr 23 Studia i Materiały Nr 18

CHEMIA i technologia ropy Naftowej, Pr. Nauk. Inst. Chem. Technol. Nafty PWR Nr 24 Konferencje Nr 1

CHEMIA i technologia chemiczna węgla, Pr. Nauk. Inst. Chem. Technol. Nafty PWR Nr 25 Konferencje Nr 2

A. KISZA: Amalgamatowa elektorafinacja metali, Pr. Nauk. Inst. Chem. Nieorg. PWR Nr 33 Monografie 10

NIEZAWODNOŚĆ systemów, Pr. Nauk. Inst. Cybern. PWR Nr 26 Studia i Materiały 18

DIAGNOSTYKA systemów, Pr. Nauk. Inst. Cybern. PWR Nr 27 Konferencje Nr 5

FUNDAMENTOWANIE, Pr. Nauk. Inst. Geotech. PWR Nr 14 Studia i Materiały Nr 8

B. STEPNIWSKA: Zieleni towarzysząca architekturze i urbanistyce w starożytności, Pr. Nauk. Inst. Hist. Arch. PWR Nr 10 Monografie Nr 7

S. KLIN: Analiza konstrukcji torów tramwajowych, Pr. Nauk. Inst. Inż. Łąd. PWR Nr 15 Monografie Nr 2

R. DĄBROWSKI: Metody inżynierskie w teorii powłok, Pr. Nauk. Inst. Konstr. Eksp. Masz. PWR Nr 16 Monografie 3

PROBLEMY rachunku prawdopodobieństwa, Pr. Nauk. Inst. Mat. PWR Nr 11 Studia i Materiały 10

ANALIZA Kombinatoryczna, Pr. Nauk. Inst. Mat. PWR Nr 12 Studia i Materiały 11

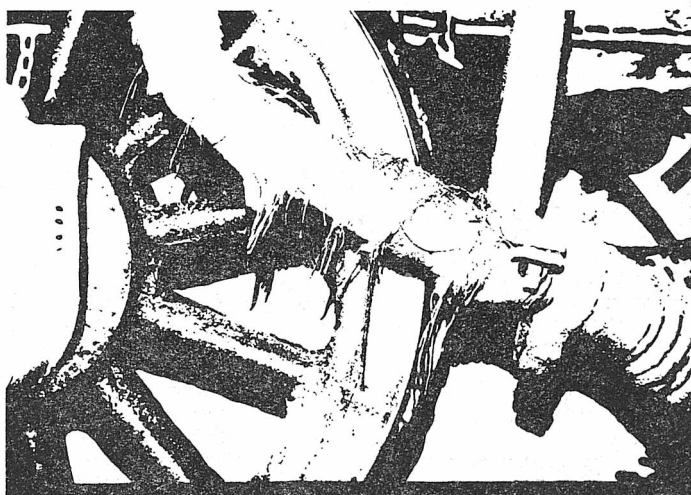
POSTĘPY w technologi maszyn, Pr. Nauk. Inst. Technol. Bud. Masz. PWR Nr 9 Konferencje 1

ZASTOSOWANIE wiązki elektronowej i jonowej, Pr. Nauk. Inst. Technol. Elektron. PWR Nr 14 Konferencje 2

PIROLIZA i utlenianie piroliza metalu, Pr. Nauk. Inst. Technol. Nieorg. PWR Nr 9 Monografie 3

TRANSMISJA danych, cz. 1, Pr. Nauk. Inst. Telekom. PWR Nr 20 Studia i Materiały 9

Fot. G. KAMIŃSKI



NASZE DEBIUTY NASZE DEBIUTY

Tomasz Koch

Bajki

Wierzyliśmy w czary i wróżki
i święte Mikołaje
Panie błogosław ten czas
wreszcie złamaliśmy dno nadwątlone bajek
teraz mamy podwójne bajki
i też jest dobrze
choć kwiatów nie zrywamy z księżycą
i św. Mikołaj jest naiwniakiem pod choinką
ale mamy też podwójnych świętych Mikołajów
którzy chodzą, żyją, mieszkają, sąsiadują
ale tak właściwie to jest nam dobrze
z tymi podwójnymi bajkami
Pojedynczą bajkę wyśmiewamy
i dajemy dzieciom
A na potrójne zadzieramy głowy
do góry i święcie wierzymy.

Morderca

Wij gniazdo długo
aż zostaniesz ptakiem
Faluj rękoma na wietrze

Myśl długo i wspaniale
a zostaniesz Bogiem
zabijaj myśli prędko
aż zaszeleścisz lasem
to zostaniesz mordercą

Fot. G. KAMIŃSKI



Jadwiga Nowak

Z cyklu: „Ślepcy”

„...osiągnij mądrość,
osiągnij roztropność...”

Wtedy wejdiesz na wysoką górę, a ja podam ci gałązkę oliwną i poprowadzę na szczyt. Daleko pod nami pozostaną ludzie i żyzne doliny, sprawy którymi żyłeś i które przeszły niezauważone twą obojętnością. — Przed nami błękit.

Uniesiesz brwi swoje, ale oczy pozostaną zamknięte.

— Jesteś kaleką — powiem i podniosę głowę ku słońcu.

Ono oświecili twą twarz, zabyłyś światłością wewnętrzną, zajaśnieje niewiedzą. A wtedy posadzę cię na wiekowych kamieniach i zacznę swą opowieść. Poprowadzę cię wśród głodnych i cierpiących, ułomnych i pięknych ciałem, opowiem o kochających, kochankach i o tobie. Ból świadomości przeniknie martwe źrenice twoich oczu. Między powieką a okiem pojawi ci się postać Magdaleny.

Przecież pragnąłeś tej dziewczyny jak nikogo na świecie. Oszczędzałeś tygodniami, by zapłacić za wspólnie spędzone z nią godziny. Śledziłeś z bólem jej odejście, lecz nie ofiarowałeś jej nigdy czułego słowa, nie obdarowałeś kwiatami, które tak lubiła wplatać we włosy. Nie zauważyłeś także jej dłoni wyciągniętej ku tobie i tak ciebie potrzebującej. Pamiętasz? Brakowało ci odwagi by spojrzeć w jej oczy, gdy wracała od tych, którzy też jej płacili... Patrzyła z ufnością w twą twarz — wyrok nie był dla niej przychylny. Jeszcze długo błądzić będzie po bezdrożach szukając ciepła, a doznając chłodu.

Ty zresztą szybko gdzie indziej wzrok skierowałeś — zostałeś wielkim podróżnikiem. Coraz to nowe ziemie odkrywałeś ludzkim oczom. Nieznane ci dotąd zwierzęta pozostawiały na tobie ślady swej drapieżności. Lecz im więcej wiedziałeś, tym mniej było w tobie mądrości. Pustynia nie dała twym wargom orzeźwiającego pocałunku Magdaleny, a dżungla nie ochłodziła czoła jej rękoma. Aż nadszedł czas, gdy opuścili cię wszyscy przyjaciele. Powoli i siły cię opuścili. Samemu trudniej już było trwać w niepamięci. Coraz częściej myślałeś o powrocie, lecz i kierunek się już zatarł. Jedynie postać Magdaleny jeszcze wyraźniej wtapiała się w blaknące oczy.

Teraz ręką ślepcy przebiegać będziesz po twarzach kobiet, które użalają się nad twą samotnością. Życzliwie wysłuchają twej pieśni. Niejedna nadziei doleje ci do dzbanu, a on ciąży ci będzie coraz bardziej...

Być może kiedyś odczujesz znowu palący żar Jej oczu na swej dłoni. Być może wtedy osiągniesz mądrość, dobiegniesz kresu. To będzie chwila ostatnia, a trwać będzie najdłużej. I w popiół zamienią się wasze ciała, a zmieszane dokładnie ze sobą rozdmucha wiatr.

Wrocław, styczeń 1975



Teresa Iwaniszewska — Wrocław

Zdjęcia: C. ZRAPLEWSKI



Bogdan Smoleń — Kraków (I nagroda)

Rozpadło się na połówki jabłko (symbol tegorocznego festiwalu) przecięte puszczoną w ruch przez Elżbietę Wojnowską siekierką i... zostaliśmy zaproszeni do festiwalowego stołu. Stołu — dodajmy — obficie zastawionego. Do konkursowych przesłuchań stanęło bowiem ponad pięćdziesięciu wykonawców, z których prawie każdy przedstawił trzy utwory. Dominowały ballady i piosenki poetyckie. Trochę mniej słyszeliśmy piosenek kabaretowych, a szkoda, bo co by tu nie powiedzieć, bliższe są i studenckiemu sercu, i studenckiej codzienności niż śpiewana poezja. Tyle naszego, że dzięki ich twórcom i wykonawcom wywodzącym się w większości właśnie z kabaretów i teatrów studenckich, sporo było dobrych tekstów i dobrego śpiewania.

Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich nie kończył się na przesłuchaniach konkursowych. W myśl ich założen powinien on dawać możliwość konfrontacji własnych osiągnięć i prze-

KRAKOWSKIE ŚPIEWANIE

Krzysztof Sokołowski

myśleń z doświadczeniami innych. Dlatego ważną rolę w Krakowie odgrywały imprezy towarzyszące z udziałem znanych już gwiazd polskiej piosenki, z których nie jedna po raz pierwszy zaświeciła właśnie w Krakowie. Przeżyliśmy więc dwie imprezy — giganty — wspomnieniową *Co nam zostało z tych lat* i *Nocny maraton kabaretowy* oraz szereg pomniejszych, recitalowych. Wystąpili w nich m.in.: Maryla Rodowicz, Bogusław Mec, Marek Grechuta, Ela Wojnowska, Natasza Czarcińska, Renata Kretówna, Roman Geremek. Nic dodać, nic ująć. Gdyby jeszcze poszczególne imprezy zdołały utrzymać się w swojej konwencji... Chyba za bardzo chcieli organizatorzy z prezentacji piosenek kabaretowych zrobić maraton i upychali tu wszystko. Były piosenki, był jazz (b. dobry zresztą — brawo *Old Metropolitan Band*), były



Tomasz Piss — Wrocław

skecze i wiersze... Był galimatias. No, ale nie wszystko da się jak z płatkami. Skoro jednak już zacząłem o organizatorach, dodam, że rozmiar festiwalu ich trochę przytłoczył. Przesłuchania konkursowe nie mieściły się w czasie. Wykonawców co chwilę ponaglano, aby się szybko instalowali, co potęgowało i tak nerwową atmosferę za kulisami. Próby mikrofonowe w drugim dniu rozpoczęto o 7.30, co było — dla uczestników konkursu głównie — mało zabawne, zważywszy, że program dnia poprzedniego zakończony został o pierwszej w nocy.

Dla równowagi stwierdzić należy, że zastąpienie eliminacji centralnych środowiskowymi dało dobre rezultaty. Dzięki temu wystąpili w Krakowie przedstawiciele niemal wszystkich miast akademickich w Polsce, co dało możliwość przekrojowego wglądu w aktualny stan studenckiej piosenki.

Od pewnego czasu przy okazji Festiwalu Piosenki pojawiają się głosy, że istotniejsze dla sprawy studenckiego

śpiewania powinno być stworzenie najpoważniejszej środowiskowej trybuny piosenkarskiej wypowiedzi, niż kreowanie „idoli” na użytek wielkostradowego handlu. Jestem za. Idea piękna, choć od razu do zrealizowania nie łatwa.

Nie zgodziłbym się tylko z jej końcowym fragmentem. Dlaczego bowiem festiwal nie miałby pomóc w estradowej karierze tym, którzy w niej widzą cel swego piosenkowania? Tymczasem cenne dla festiwalu jest to, że podnosi rangę studenckiej piosenki, stwarza możliwość konfrontacji i dyskusji z uznanymi autorytetami polskiej piosenki, a także to, że wszystko odbywa się w atmosferze ogólnej wspólnoty wykonawców i życzliwości publiczności. Jury XII Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich pod zjednoczonym kierownictwem przewodniczącego — Krzysztofa Jasińskiego oraz przew. nieurzędującego prof. Aleksandra Bardniego przyznało nagrody w kolejności: Bogdanowi SMOLENIOWI z krakowskiego kabaretu *Pod Budą*, Janowi WOŁKOWI z Warszawy, Henrykowi CYGANIKOWI i Januszowi HNATOWICZOWI z Krakowa za autorstwo piosenki *Ballada o wielkim żarciu*, Annie TRETER z krakowskiego kabaretu *Pod Budą* za wykonawstwo piosenek, Teresie IWANISZEWSKIEJ z Wrocławia, Wojciechowi BELLONOWI, z Krakowa, Ewie DOMAGALE z Krakowa, Grupie 2 MAJ z Gliwic,

Jury przyznało także indywidualne nagrody dla Krzysztofa WIERZCHONIA z Krakowa za kompozycję utworu *To już niedługo*, oraz Mirosława HRYNKIEWICZA z Gdańska za autorstwo ballad wykonywanych przez St. Wawrykiewicza.

Ponadto jury wyróżniło pięciu wykonawców, a wśród nich Tomasza PISSA z Wrocławia zaproszeniem do udziału w koncercie laureatów.

Tradycyjną nagrodę Min.N.Sz.WiT. w wys. 20 tys. zł na zakup sprzętu dla najaktywniejszego środowiska jury przydzieliło reprezentantom Kielc.

Tak więc na liście nagrodzonych drugą przewagę krakowian. Może to sprawa tradycji festiwalowych tego miasta, może większego zamiłowania żaków Krakowa do śpiewania... Denerwuje jednak trochę fakt, że na sześciu jurorów, pięciu było z Krakowa. Może by jednak na przyszłość bardziej zróżnicować terytorialnie komisję sędziowską. Uniknęlibyśmy przy okazji bezpodstawnych podejrzeń.

Akredytowani przy festiwalu dziennikarze przyznali swoją nagrodę B. Smoleniowi i autorom wykonywanych przez niego piosenek: H. Cyganiakowi i J. Hantowiczowi.

Ilustrowany Informator Kulturalny

Ciekawa inicjatywa kulturalna RI ICT

Komisja Kultury Rady Instytutowej ICT zainicjowała w naszej Uczelni cykl ambitnych imprez artystycznych. Imprezy będą się odbywały w hallu Gmachu Cybernetyki (C-1) raz w miesiącu. Zaprezentowane zostaną grupy studenckie (teatralne i kameralne), amatorskie oraz zespoły profesjonalne. Występy te będą się odbywać w niecodziennej scenerii (interesujące rozwiązanie przestrzeni osiągnięto poprzez nietypową lokalizację imprez w hallu) i zapewne zainteresują wszystkich miłośników ambitnej sztuki.

Pierwsza impreza tego cyklu odbyła się 26 kwietnia br. — ze względów niezależnych od organizatorów (wolna sobota) w klubie „Drzazga” przy ulicy Wittiga. Był to występ kwartetu smyczkowego Filharmonii Wrocławskiej.

Następna impreza z tego cyklu odbędzie się 24 maja już w hallu gmachu C-1. Organizatorzy zaprezentują widzom widowisko teatralne *Ofiarowanie Izaaka* w wykonaniu legnickiego Studia Teatralnego *Zaułek*. Grupa ta działa przy legnickim Domu Spółdzielcy „Parnasik”, a jej kierownikiem artystycznym jest Jerzy Niebudek.

Za spektakl ten zespół uzyskał główną nagrodę im. Zoltana Fabriego na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów Amatorskich w Dunajskiej Stredzie (Czechosłowacja), główną nagrodę na Festiwalu Ogólnopolskim Teatrów Amatorskich w Stalowej Woli, nagrodę za eksperyment sceniczny na Ogólnopolskim Festiwalu Teatralnym w Lublinie.

Dla zainteresowanych tą atrakcyjną grupą teatralną (oglądałem to przedstawienie podczas Legnickich Dni Poezji — i zapewniam, że przeżycie jakiego doznałem jest niepowtarzalną przygodą intelektualną) — prezentuję fragmenty opinii recenzentów:

(...) Wystawiono sztukę będącą efektem głębokich, filozoficznych przemyśleń twórców i wymagającą odpowiednich refleksji odbiorców. Zaprezentowano znajomość najnowszych osiągnięć teatralnych i — co ważniejsze — umiejętność własnych, oryginalnych rozwiązań. (...)

MARIA BOROWSKA Wiadomości — Wrocław

(...) „Ofiarowanie Izaaka” jest rodzajem scenicznego „poezji” zabudowanej metaforyką i symboliką, a nade wszystko wypełnionej emocją, co było dla mnie najpiękniejsze i najbardziej sugestywne, udzielające się. (...)

Objawił się nam (...) teatr zbiorowej kreacji, teatr ideowego i emocjonalnego zaangażowania, teatr myślowy, teatr szlachetny, teatr szukający ponadkonwencjonalnego kontaktu i porozumienia z widownią. Czy nie popadam w przesadę? Jeśli na-



wet... Wzruszyłem się w teatrze. A to mi się wcale tak często nie zdarza.

TADEUSZ BUSKI Gazeta Robotnicza — Wrocław

(...) Na tle klęsk małych i dużych w dziedzinie pseudonowoczesności języka i repertuaru błyszczały zwycięstwa nowoczesności nieklamanej autentycznego zaangażowania w najistotniejsze problemy Polski w spektaklu o tragicznej dewaluacji pięknych symboli (...)

ELŻBIETA MORAWIEC Życie Literackie — Kraków

(...) Barwie i ciekawe widowisko *Ofiarowanie Izaaka* zaprezentowało Studio Teatralne *Zaułek*, dając nam naprawdę dużo w warsztatowych i ujawniając niepokoję mo-

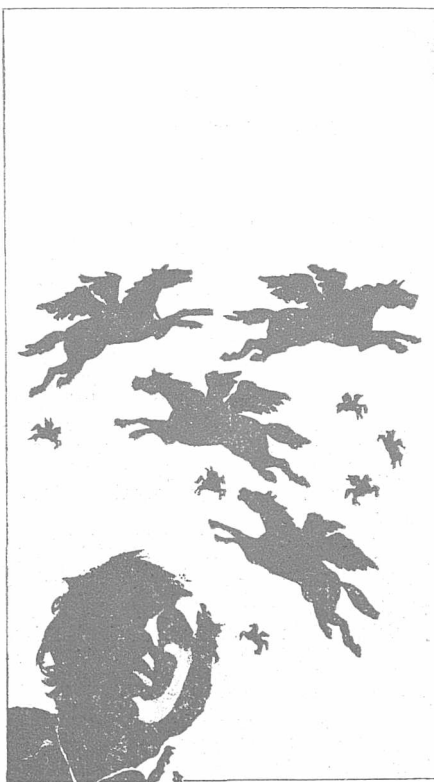
ralne i artystyczne młodzieży. „Zaułek” wykorzystując motywy kulturowe zaadaptował je dla wyrażenia problemów nekających współczesnego, młodego człowieka. Zgrabne, dynamiczne przedstawienie, nie wolno wprawdzie od usterek i niebezpiecznych zapożyczeń z teatru awangardowego, obroniło się jednolitą stylistyką, zawartością treściową i siłą moralną.

STANISŁAW SROKOWSKI Wiadomości — Wrocław

A więc 24 maja spotykamy się z amatorami w Studio Teatralnym *Zaułek* w hallu Gmachu Cybernetyki (C-1) — godzina rozpoczęcia na afiszach.

ERDY

Spotkanie z poezją, grzańcem... i J. Łozińskim



Marek Garbala — nieustrudzony w popularyzowaniu wrocławskiej poezji i wrocławskich poetów zorganizował 14 kwietnia br. w Piwnicy Świdnickiej wernisaż poetycki w mrocznej „Izbie Kupców”. Zebrało się liczne grono poetów kilku pokoleń (u nas pokolenia poetyckie pojawiają się w interwałach mniej więcej pięcioletnich) oraz mniej liczna grupa wiernie towarzysząca poezji i poetom. Współzawodnictwo części inscenizowanej z improwizowaną wypadła na korzyść tej pierwszej. Imprezę sprawnie prowadzili Marek Garbala i Andrzej Zawada, recytatorzy związani emocjonalnie z Piwnicą Świdnicką zaprezentowali uczestnikom wiersze wrocławskich poetów (m. in. Urszuli Koziół, Jacka Łukasiewicza, Janusza Stycznia, Henryka Kubickiego — żyjących i nie żyjącego Rafała Wojaczka). Były też wstawki muzyczne (zdekompletowane — jak oświadczył szef trzysobowego zespołu) i granicę z nadmierną ilością goździków, po którym uczestnicy dostali zgoła nie poetyckiej czkawki. Gorzej wypadła część nie improwizowana. Tu rej wodził młody (wchodzący bardzo hałaśliwie do literatury polskiej) prozaik wrocławski Józef Łoziński, który mimo wysiłków organizatorów i uczestników nie pozwolił sobie odebrać głosu na żadnym etapie imprezy. (stek)

Galeria Plastyki KALAMBUR zaprasza na kolejną wystawę, tym razem malarstwa Tadeusza STARUSZKIEWICZA studenta V roku PWSSP we Wrocławiu. Wystawa czynna będzie od 14 do 31 maja w godz. 11-16 oraz w czasie spektakli teatralnych.

„RELACJE”

METODA a

siebie

w wierszach

za barykadami słów

schować

bo jest się pozbawionym głosu

Taki tytuł nosi *Katalog Poetycko-Fotograficzny* wydany przez Międzyzakładowy Klub „Oławka” z okazji pobytu we Wrocławiu austriackiego poety i prozaika Helmuta Zenkera. Czytelnicy *Sigmy* znają autora z opublikowanego w przedostatnim numerze (6/66) naszego pisma fragmentu mi-kropowiesci *Dla takiego jak ty*.

Relacje zawierają wiersze Helmuta Zenkera w przekładzie Lothara Herbsta, wkomponowane w fotogramy Jacka Samotusa (też znanego naszym czytelnikom z licznych prac fotograficznych, publikowanych systematycznie na łamach *Sigmy*).

18 kwietnia br. Klub „Oławka” gościł autorów *Relacji* na spotkaniu autorskim, które umożliwiło uczestnikom wzajemne przedyskutowanie postaw — i to zarówno artystycznych jak i szerzej — społecznych i politycznych. Dyskusję sprawnie tłumaczyli Lothar Herbst, Feliks Przybylak i mniej sprawnie — Ernest Dyczek. Uważam, że zarówno gość z Austrii jak i uczestnicy byli usatysfakcjonowani możliwością bezpośredniej wymiany poglądów, za co należą się podziękowania kierownikowi Klubu „Oławka”, który od lat niepatronuje jako poczynaniom poetów. Obok reprodukowujemy jedną stronę z pięknie wydrukowanego przez Wrocławską Drukarnię Naukową katalogu.

(ed)

PS. Ponieważ doszły mnie słuchy, że opublikowany na naszych łamach fragment prozy Friedmana Bayera i Helmuta Zenkera co niektórych nieco zbulwersował (nawet poważne *Wiadomości* pozwoliły sobie na dość tandetny chwyt polemiczny, wydzierając z kontekstu co bardziej „smakowite” momenty dla swoich, nie czytających *Sigmy* czytelników — a fe!), czuję się w obowiązku jako jeden ze sprawców zamieszanych w opublikowanie tego tekstu, przeprosić tych czytelników, którzy gustują w bardziej ugiadzonej literaturze i narażeni zostali na zbyt gwałtowne zderzenie ze zbyt drastyczną problematyką społeczną panującą w ojczyźnie autora... i polecam im łagodną lekturę prozy naszego rodzimego, równie znakomitego pisarza — Ireneusza Irydyńskiego, dość często publikowaną na łamach znakomitszej od *Sigmy* „Literatury”.

(ed)

Legnickie Dni Poezji

Impreza ta zaczyna już powoli pokrywać się patyną tradycji. W tym roku odbyły się one w dniach 11-12 kwietnia br., jak zawsze w Domu Spółdzielców „Parnasik” w Legnicy. Pan Stanisław Skowron — kierownik „Parnasika” zadbał o ambitny program i interesujące imprezy towarzyszące.

Niestety, obowiązki zawodowe uniemożliwiły mi uczestniczenie w pierwszych dwóch imprezach, stąd też nie obejrzałem spektaklu Teatru Zielonogórskiego, który zaprezentował uczestnikom *Donosy rzeczywistości* Mirona Białoszewskiego, ani też nie wysłuchałem zapewne bardzo interesujących referatów Janusza Deglera i Bogusława Kierca. Natomiast obejrzałem piękne przedstawienie sceny studyjnej Teatru Jeleniogórskiego *Homer i Orchidea* Tadeusza Gajcego oraz *Ofiarowanie Izzaka* w wykonaniu Studia Teatralnego „Zaulek”. (Jak zapewnia mój przyjaciel ERDY z sąsiedniej rubryki, czytelnicy *Sigmy* zobaczą to przedstawienie 24 maja w hallu Gmachu Cybernetyki).

Ostatni dzień był najbardziej „robotyczny”. Ciekawe referaty na temat „Intuicja a intelekt we współczesnej poezji” wygłosili: Jacek Trznadel, Adam Komorowski i Ziemowit Skibiński. W dyskusji królowała nonkonformistyczna poetka z Wrocławia — Marianna Bocian, której dzielnie dotrzy-

mywał kroku warszawski krytyk i poeta Leszek Szaruga. Chciał się też włączyć do dyskusji wrocławski krytyk i poeta Andrzej Więkowski, ale nigdy

OFIAROWANIE IZZAKA



nie udało mu się wyjść poza Platona (miejmy nadzieję, że w przyszłorocznych „Dniach” uda mu się już wejść w krąg oddziaływania filozofii Seneki i Epikura).

Wieczorem, swoje postawy poetyckie zaprezentował Andrzej Więkowski (tym razem winą obarczam słuchaczy, którzy odmówili mu votum słuchania akurat w chwili, kiedy już, już przekraczał zaklęty krąg Platona), Marek Jodłowski — poeta i tłumacz z Brzegu (mówił tak interesująco, że zupełnie zauroczył salę, stąd też — tak mi się wydaje — chętnie przedłużono by mu limit czasu), Leszek Szaruga (straszenie zdarł sobie gardło podczas dyskusji, więc często przegrywał ze zbyt głośno pracującym wentylatorem) i Adam Komorowski — krytyk z Krakowa (zupełnie niespostrzerzenie przemienił się w krakowską grupę „Teraz”). „Postawami” sprawnie kierował wrocławski krytyk Mieczysław Orski.

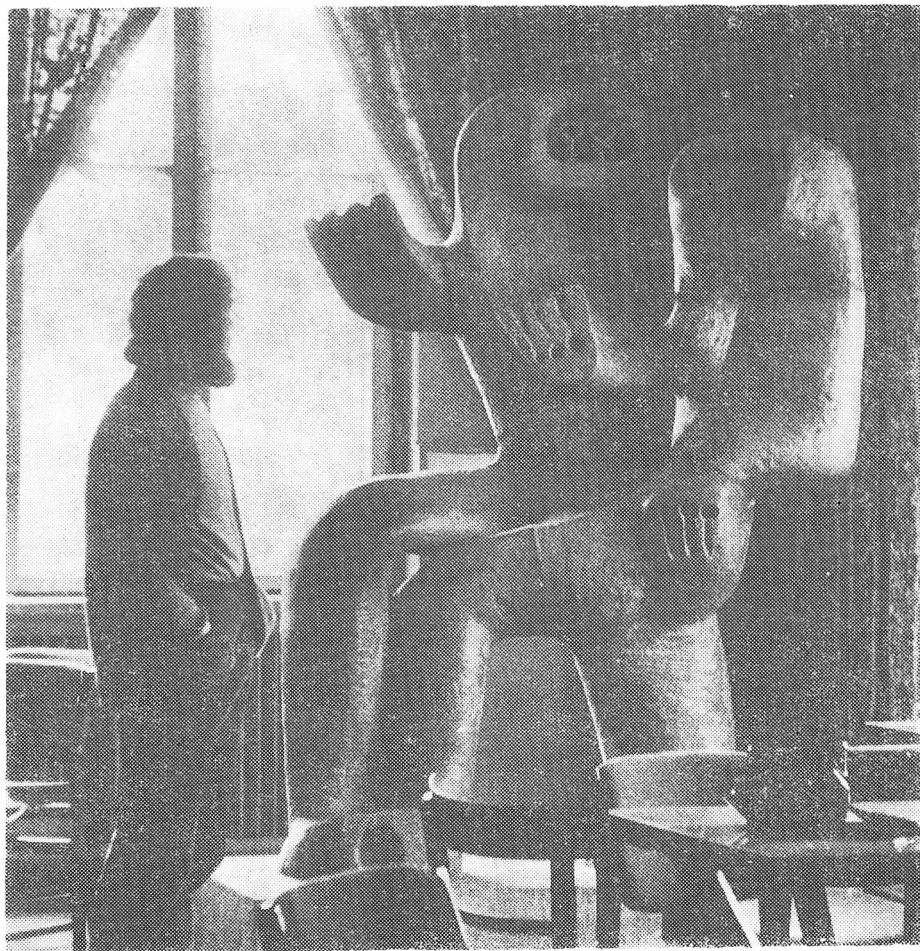
Turniej poetycki o nagrodę publiczności, prowadzony przez poetę Janusza Stycznia, nie wystawia zbyt dobrego świadectwa legnickim poetom. Próbowali za wszelką cenę przeforsować kandydatury swoich lokalnych wierszopisów, głosując na nich niedozwoloną ilością kartek, albo też punktowali bardzo wysoko specyficzne poczucie humoru renomowanych i rutynowanych poetów, którzy gwoili rozrywki pisali na poczekaniu pocieszne wierszyki. Trzecią nagrodę w tej nierównej walce uzyskał wiersz Urszuli Benki z Wrocławia.

„Dni” zakończył zespół jazzowo-beatowy potężną, zbyt mocną jak na moje uszy, dawką decybeli, i one to przed czasem wypłoszyły mnie z gościnnego „Parnasika”.

CZŁO WIEK

i jego sytuacja

Sławomir Hulanicki



Andrzej Łętowski: „KOSMONAUTY”

O twórczości Andrzeja ŁĘTOWSKIEGO pisałem już na łamach Sigmy przed kilkoma laty. Wiele od tego czasu się zmieniło. „Sigma” z pisemka fotooffsetowego przekształciła się w całkiem znośny periodyk o doskonałej szacie graficznej i niezłych materiałach publicystycznych. Dużo też zmieniło się w twórczości Łętowskiego. Mógł się o tym przekonać uważny czytelnik oglądając wystawę prac rzeźbiarskich artysty w centralnym klubie naszej Uczelni. Artysta przed laty borykający się z trudnościami natury zgoła nieartystycznej, dziś dysponuje wspaniałą pracownią rzeźbiarską, co z pewnością miało zbawienny wpływ na całokształt jego dokonań. Ale zostawmy tę sferę i przejdźmy do zagadnień nam bliższych, a więc do twórczości.

Łętowski jest człowiekiem ruchliwym, dynamicznym, o spontanicznym charakterze działania. Tę właśnie spontaniczność i dynamikę odnajdujemy już w jego najwcześniejszych zaznaczonych wczesnokubistycznymi wpływami, poetyką Moora, Archipienki, czy nawet najszej Katarzyny Kobro pracach. Oddajmy jednak głos sprawiedliwości i powiedzmy, że właściwie od samego startu artysta prace swoje zaznaczał własną osobowością, zawsze więc to był Łętowski, może jeszcze nie ten dzisiejszy, może nie w tej skryształizowanej już formie, ale to był on. Już w pierwszych pracach artysty czuło się utalentowaną rękę, dynamikę wyobraźni i jakąś „gorącość”, płomień jakiś, co go gnębił, palił od jednej rzeźby do drugiej, pomiędzy jednym pomysłem a pomysłem następnym.

Znam artystę od wielu lat, towarzyszyłem też jego wielu przemianom, zwłotom i upadkom, byłem także świadkiem powstawania wielu koncepcji —

tych co zostały zrealizowane i także tych, w których artysta ponosił porażkę.

W życiu człowieka są sprawy ważne i mniej ważne, nie ma zaś spraw zupełnie nieważnych. W życiu człowieka, który jest artystą, te sprawy odnajdują dodatkowy wyraz, zostają na pewnych etapach jak gdyby podsumowane, uogólnione, uzewnętrzniają się pod postacią dzieł, przedmiotów materialnych, ale nie o materię tutaj chodzi. Każdy przejaw działalności artystycznej poza tą warstwą posiada coś znacznie bardziej ważnego — warstwę emocji, zmagania się z życiem, z samym sobą i ze społecznością, w której wypadło żyć. Artysta jest kłopotem dla współczesnego społeczeństwa, ale ma także sam duży kłopot ze społeczeństwem — stara się więc w nim odnaleźć — żeby samemu sobie udowodnić własne istnienie, swoją przydatność, funkcję, tak — funkcję, ale nie wodza, nie kapłana, nie mesjasza. Więc kogo? Podejrzewam, iż na to pytanie nie znajdziemy odpowiedzi. Więc pytania, pytania, pytania... Człowiek... jego zagadka czas, przestrzeń, być albo nie być... a tu nagle wszystko znika przy zwyczajnym schabowym; człowiek, narodziny, życie i śmierć i to wszystko co między tym zawarte... i znowu nie ma niczego poza podwyżką, przyjęciem u Kowalskich, imieninami szefa...

Człowiek, niezgłębiona tajemnica, przedmiot nieskończonej ilości poszukiwań. Doskonale sobie z tego zdaje sprawę Łętowski, dlatego twórczość swoją ograniczył do tego tematu. Człowiek i jego sytuacja, człowiek i sprawy z nim związane, jego sprawy najważniejsze, schaboszczak i problem Hamleta, gimnastyka poranna i kosmos.

Nie ma spraw ważnych w twórczości Łętowskiego, a są sprawy najważniejsze. I to jest chyba niesłychanie cenne u artysty, to sprawia, że jego sztuka jest żywa, zawsze aktualna, prawdziwa w naszych czasach; w tych czasach kiedy jedni prześcigają się w ekstrawaganckich pomysłach, inni zaś uprawiają hiperrealizm, a jeszcze inni nic nie robią z lęku (rzekomo) przed zaśmiecaniem świata dodatkowymi przedmiotami, Łętowski uprawia odwieczny temat.

Dzieją się więc sprawy ludzkie w rzeźbach artysty, dzieją się sprawy ukazywane jasno i śmiało, wprost do odbiorcy, bez elitarnego wyboru, bez selekcji, bo Łętowski wychodzi ze swojej pracowni na place miast, do parków, przed bramy fabryczne, do środka fabryk, tam żyje, funkcjonuje pomiędzy traktorzystami, szlifierzami, odlewnikami, towarzyszy przechodniom śpieszącym się w swoich sprawach, a także emerytom w parkach, w ciepłe wiosenne przedpołudnia. Wiele rzeźb Łętowskiego znajduje się w różnych miastach naszego województwa, w zakładach pracy (jedne z ostatnich realizacji, wykonane wspólnie z Tadeuszem Tellerem, znajdują się na terenie wrocławskiego Hutmenu), w parkach i na skwerach.

Sztuka Łętowskiego wymaga przestrzeni, wymaga ludzi, jego rzeźby czy też płaskorzeźby rozsadzają wnętrza, żądają wręcz realizacji w szlachetnym materiale. Mógł się o tym czytelnik przekonać oglądając ostatnią wystawę artysty. Myślę, że to jest szansa, szansa zarówno dla artysty jak i odbiorcy — warto żeby z tej szansy skorzystać.

W witrynach księgarskich ukazała się w serii *Nike* kolejna pozycja znakomitego pisarza kolumbijskiego, Gabriela Garcii Márqueza pod tytułem *Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry i jej niegodziwej babki*.

Książka jest zbiorem siedmiu opowiadań, podobnie jak poprzednie utwory Márqueza (*Nie ma kto pisać do pułkownika*, *W tym mieście nie ma złodziei*, *Sto lat samotności*) utrzymanych w konwencji fantastycznej. Ich akcja z reguły dzieje się w anonimowej, odciętej od świata wiosce kolumbijskiej, do której echa wydarzeń współczesnych docierają spóźnione i przekształcone, niekiedy zupełnie zatracając swój pierwotny sens. Bohaterowie opowiadań, mieszkańcy wsi, wiodąc żywot beznadziejnie monotony uciekają w świat fantazji i może dzięki temu wydarzenia niemożliwe, niezrozumiałe i nadprzyrodzone rzeczywiście zaczynają się dziać. Autor bowiem nie stroni od groteskowych przejawów i sytuacji absurdalnych: wprowadza do akcji nastroszonego anioła, topielca niezwyklej rozmiarów, widmowy okręt. Mieszkańcy wsi przyjmują te zjawiska jako naturalne, ich psychiki, nakreślone w sugestywnych skrótach, nie ulegają zmianom i co najwyżej ktoś umiera, biednie albo się bogaci.

Jest niezmiernie interesujące zetknięcie świata fikcji i banalnej pustynnej rzeczywistości, które z jednej strony można odczytać jako karykaturę społeczeństwa odciętego od cywilizacji (a może społeczeństwa w ogóle?), tak wiele w nim przesądów — z drugiej — subtelną analizę natury ludzkiej, niezmienną w swych archetypicznych skłonnościach do baśni i w umiętności poetyckiego spojrzenia na rzeczywistość. Gabriel Garcia Márquez, który nie jest poetą, w mistrzowski sposób godzi brutalność z liryzmem i jego postacie z pozoru nieokrzesane i pierwotne przez spontaniczność swych działań pozostają w zgodzie z naturą: pozostają czyste. I mimo groteskowej formy swej egzystencji, pozbawionej szans

LEKTURY



na zmianę rekwizytów (beznadziejności, nędzy), ludzie ci sprawiają, że książka pełna jest optymizmu i ten optymizm może wywołać. Właśnie na zasadzie ucieczki (przywołania?) w świat wyobraźni. Wspomniany optymizm naturalnie obwarowany jest wieloma nawiasami stwarzając w ten sposób szerokie możliwości dla własnych interpretacji czytelnika.

Obok książki Márqueza wydano *Antologię osobistą* Jorge Luisa Borgesa, jednego z czołowych przedstawicieli literatury ibero-amerykańskiej. Czytelnikowi polskiemu znane są tomy opowiadań Borgesa: *Fikcje* i *Alef*. *Antologia osobista* zawiera tym razem poezję i prozę poetycką oraz eseje. Zamieszczono w niej także opowiadania z obu wspomnianych tomów, a także opowiadania, które tutaj znalazły swój polski debiut książkowy. Są to: „Kość niezgody” i „Zakończenie”.

Poezja Jorge Luisa Borgesa przypomina klimatem opowiadania. Podobnie jak i one zawiera duży ładunek intelektualny i erudycyjny, sięga po tematykę argentyńską wraz z jej folklorem, egzotyką (nawet dla intelektualistów argentyńskich świat pampy jest egzotyczny) i historią, ale przede wszystkim — z punktu widzenia siebie jako podmiotu umierającego i — jako obserwatora. Powraca więc śmierć ludzi anonimowych, obojętnych, przyciętów i wrogów. Usiłowanie dotarcia do spraw ostatecznych odbywa się przy pomocy rekwizytów magii wschodniej i jej przesądów z głównym motywem labiryntu i tygrysa, kultury zachodniej: książek, ksiąg, bibliotek, zapisków. Niezwykle zdyscyplinowana, wręcz chłodna forma poezji Borgesa, a także jej niepowtarzalny klimat sprawiają, że lektura może sprawiać trudności, nie mniej jednak wnikanie w proponowany świat przynosi satysfakcję.

Część czwarta „antologii” zawiera eseje, między którymi znajdują się utwory o charakterze opowiadań (i tak były drukowane w prasie, np. „Pismo Boga”, równoległe — „Fikcje”), i te mają ambicje bardziej filozoficzne od innych, poświęconych bardzo zindywidualizowanej analizie literackiej. Bowiem analiza, jaką uprawia Borges, jest zwykle snuciem rozważań równoległych do pozycji wyściółkowych, prowadząc często do wniosków paradoksalnych, które mogą być akceptowane lub nie. Nie mniej jednak są to zawsze propozycje ogromnie ciekawe i ich kontrowersyjność wydaje się tym bardziej cenna.

URSZULA M. BENKA

- 1) Gabriel Garcia MARQUEZ, „Niewiarygodna i smutna historia Erendiry i jej niegodziwej babki”, przełożył Carlos Marradan, Czytelnik, Warszawa 1974, s. 176.
- 2) Jorge BORGES, „Antologia osobista”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 212.

LUSTRO

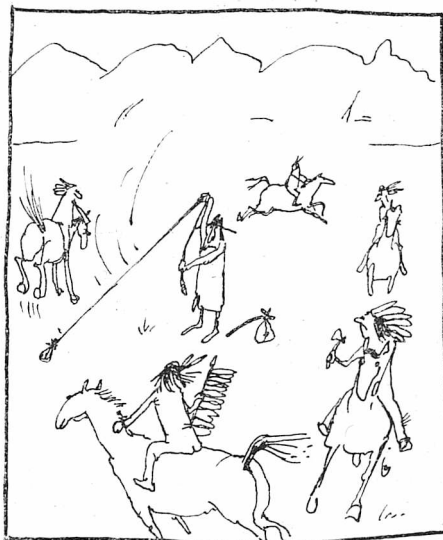
O ngiś lustro nazywano zwierciadłem, a nawet wierciadłem. Pochodzenie nazwy jest słowiańskie i dwójgłosowe: od wzroku i zerkania oraz o dziwo! — od wiercenia. „Biblia królwey Zofii” (Szarospatacka), dziełko z 1455 r. stanowiące nieocenione źródło wiadomości o średniowiecznej polszczyźnie, zawiera takie oto zdanie o rzemieślniku nowatorze: „Udziału u mywadło miedziane z podstawkami swym s wiarciać, które patrzyły w przyszesz”. Marcin Kwiatkowski z tegoż samego wieku podaje: „W wierciadle często oglądali”. Niniejszy wywód natury lingwistycznej świadczy, że rola lustra polegała nie tylko na odbiciu zewnętrznego obrazu, ale także na przewierceniu, przejrzaniu istoty ludzkiej. To spojrzenie w głąb oddaje tytuł znanej prozy Mikolaja Reja z Nagłowic: „Zwierciadło albo kształt w którym każdy stan snadnie się może swym sprawom jako we zwierciadle przypatrzeć” (1568 r.). Lustro pełniło więc społecznie ważną funkcję umoralniającą. Ukazywało bo-

wiem cnoty i pocziwy człowiek przeglądając się w nim od czasu do czasu stwierdzał naocznie i bezboleśnie we własnym obliczu istnienie lub załagki wewnętrznej piękna i tak zwanego bezgrzechu. Człowiekowi nie wystarczało to jednak. Wprowadził do użyteczności tremo, długie stojące lustro, najczęściej w ozdobnej ramie, dające odbicie całej postaci. Zainteresowani przyglądali się z tremą sami sobie w czasach koniunktury gospodarczej. „Ty to?! — pytał facet sobowótora w lustrzanym odbiciu. I dziwił się i załamywał psychicznie niejednokrotnie, kiedy został „wysadzony z siodła” w latach recesji i secesji. Były wypadki, poświadczone przez literaturę piękną, że taki strzelał do własnej lustrzanej sylwety, co kończyło się rozbiciem lustra i często małżeństwa, kiedy tremo należało do wiana małżonki. Dopiero obecnie, nareszcie, jest lustro lustrem, dającym od łacińsko-francuskiego źródłosłowu właściwy lustr, polski i blask. Od urodzenia do zgonu towarzyszy człowiekowi nieodłącznie — jako karykaturzysta! Mimo że przedstawia autentyczną rzeczywistość, a nie jej deformację. Kiedy patrzę w lustro, czuję, że mózg obsiadły mi drobne myśli, niczym robactwo. Do ust napiera przez gardło od serca brzydko-

słowie. Ech, ty...! Czy nie należy organizować dorocznego święta lustrzane-go? Byłoby co przejrzeć i z czego się pośmiać.

LEON KRZEMIENIECKI

Rys. J. TULECKI



mistrz Adam



i miłość



Janusz
Styczeń

Wybraną mistrza Adama, który swój uniwersytet miał we wrocławskim Empiku przy stoliku w środku sali, między dwoma filarami — była ciemnowłosa Astrid. Przez długi czas uchodzili za wzorową parę. I wszystko chyba byłoby dobrze, gdyby nie bolesny i wstydlivy defekt Astrid: dość znaczne poparzenie piersi. Nieporozumienia zaczęły się po długim okresie idylli, w czasie której mistrz siedząc z Astrid w Empiku czy Sezamie całował ją co kilkanaście minut, nawet gdy wykladał zgromadzonym w kilku rzędach krzeseł wokół jego stolika uczniom, wywoływał tym zresztą pewne zdziwienie, okazywane sentymenty stanowiły rażącą sprzeczność z teoriami mistrza o postępowaniu wobec kobiet.

Niestety, kuracja, jaką mistrz polecił Astrid, zawiodła. Jej kompleks rozwijał się. Skazana była całe życie na suknie z wysokim dekoltem. Mistrz wszystkim opowiadał, jak zwraca się do niego z pretensjami: „Nie potrafisz wyegzorcyzmować z mojego ciała Czerwonego Diabła”. „Ależ Astrid, wiem, każda kobieta przechodzi kryzys, nawet ty. Kobieta — to majtki, biustonosz i ple-ple. Nie, Astrid, nie różnisz się od innych kobiet”.

Ezy Astrid mistrz początkowo określał jako metalzy i przez to sprawiał mu nawet satysfakcję. Dopiero o wiele później znalazł wytłumaczenie tego zjawiska. Otóż jego sita selekcyjne pracowały wtedy znowu na obrotach zwolnionych. Przecież to były zwyczajne kobiece łyzy. Dzięki temu, że tak późno przejrzał, dowiedział się dużo o właściwej relacji metalęz i prostackich łyż babskich.

Opowiadał uczniom: „W snach Astrid jawią się jej piersi jako dojrzałe rumiane jabłka i odczuwa wtedy ulgę, jest wprawdzie na nich zniechędzona przez nią czerwień, ale czerwień na jabłkach to tylko nobilitacja, indygenat mądrej dojrzałości”.

Astrid przestawała go interesować. „Kompleksy” — machnął ręką. „Duży kryzys, nie wiem, czy przyjdzie do siebie”. „Pan by pewnie rozpacział, panie Eligiuszu, czekałaby pana frustracja, zwierzę się panu, skonstruowałem specjalny masturbator, mówię to panu w zaufaniu, wystarcza jedna pornograficzna fotografia, np. z serii Harrisona, pan oglądał u Henryka, gdy spoglądał na fotografię, fale wysłane przez moje spojrzenie włączają automat, panie Eligiuszu, nie będę panu dokładnie opisywał aparatu, i tak pan sobie nie wyobrazi, powiem na użytek rozmowy, włączony automat działa niezawodnie, oczywiście jest dostosowany do wymiarów, no, mojego organizmu, powiedzmy”.

Widziano, jak Astrid przystawała przy szatni, zaglądała przez szklane drzwi, jej twarz w owym momencie układała się w grymas, czekała w hallu, by mistrz podszedł do niej, przechadzała się długo i wolno. Potem przestała się w Empiku pojawiać. Mówiono, że ojciec, jeden z bardziej wzię-

tych adwokatów wrocławskich, wysłał ją do Paryża. W istocie leczyła się w zakładzie psychiatrycznym.

O Astrid pytali się mistrza nie tylko uczniowie, nawet dalsi znajomi. Był na ich usługi, musiał wykorzystać okazje. Do wykładów o Astrid dodawał zwykle, tytułem małego intermezzo, historię swoich konkurentów, jeszcze z okresu młodości. Historia ta zresztą była świetnym modelem. Mistrz wychowywał się, jak wiadomo, w majątku swojej babci (400 ha, duży zamek). W okresie konkurentów uprosił babcię o posłańca i ten posłaniec stał się żywym listem. Mianowicie mistrz szczyrykiem wycinał mu na ciele (z początku na plecach) jakieś słowa, zdania, choćby w rodzaju: „Najdroższa, Kocham Cię” (byłem wtedy bardzo młody — dodawał w tym miejscu), posłaniec biegł trzydzieści kilometrów do zamku ukochanej i przynosił odpowiedź. Posłaniec ten intensywnie trenował i startował w wielu biegach maratońskich. Odpowiedź również była wryta na ciele. „Nie, proszę panów, pani sama nie wycinała słów na ciele posłańca, robił to jej służący”. „Pan pyta, czy nie krwawił za bardzo, panie Eligiuszu, miałem specjalny bibularz, z bibułami nasączonymi specjalnym roztworem, przykładam bibularz do poszczególnych liter, nie było obawy o krwotoki, taki sam bibularz przesiałem mojej narzeczonej, jeszcze nim rozpoczęliśmy korespondencję. Posłaniec przybiegał z powrotem, zdejmował marynarkę, koszulę, pokazywał odpowiedź. Powiem panom w zaufaniu, gdy plecy całe były zapisane, moja młodość sprowokowała mnie do niesmacznego żartu, panowie wybaczą, młodość, panowie sami są młodzi, mianowicie napisałem bardzo czule słowa, nawet wryłem swoje westchnienie: „ach!”, panowie wybaczą, młodość, na jednej z półkul zadu posłańca. Posłaniec, tępy, tępy, nie rozumiał żartu, przybiegł do zamku ukochanej, i jak gdyby nigdy nie pokazał jedną ze swoich półkul mojej narzeczonej, panowie wybaczą, miałem wiele nieprzyjemności, to zresztą było przyczyną zerwania, panowie sądzą, że ja mam na myśli normalne zerwanie, jakie zachodzi między mężczyzną a kobietą, nie, ja mówię o metazerwaniu, zamieniłem się w węża i udusiłem narzeczoną, zakradłem się w nocy do jej łóżka, i oplotłem jej szyję, boi się pan, panie Eligiuszu, co, panie Eligiuszu, wie pan chyba, że moja postawa jest postawą naukową, nie sentymentalną”.

Historia z Astrid spowodowała jednak u mistrza pewne przewrażliwienie na punkcie kobiet, głośno to przyznawał. Tym też trzeba sobie wytłumaczyć, że po zerwaniu z Astrid zaczął serię wykładów o kobiecie jako takiej.

„Bo cóż to jest kobieta, panowie wiedzą, przedstawiałem panom ten problem na różnych modelach”. „Mistrzu, pan nie zna kobiet syberyjskich” — wtrącił jakiś przypadkowy słuchacz (przypadkowi słuchacze byli nieznośni, zupełnie jak dzieci, które dopiero trzeba poskromić). „Znałem taką jedną Sybiraczkę. Wiera, Wieroczka. Służyłem w II Armii podczas ostatniej wojny, Wiera była sanitariuszką, ja miałem rangę porucznika, natomiast Kozioł był podporucznikiem, zalecał się do Wiery, bez efektów, dlatego też zwiększył swoją natarczywość, widziałem to, trudno to opisać, widziałem o czy Wiery, nim się to dokonało, niech się panowie zbliżą, z Kozła czerwona plama na ścianie, podszedłem wtedy do Wiery, położyłem ją sobie na kolanach, i dwadzieścia pięć, przy piętnastym uderzeniu drelich pękł, nie mogłem się od niej opędzić, narzucała mi się na każdym kroku, do dzisiaj, już siwowłosa, listy pisze”.

A miłość? Cóż to jest miłość? Co po niej zostaje. Czy w ogóle coś zostaje? Nietrwałości miłosnych pamiątek mistrz poświęcił jeden z wykładów.

„Jeden z moich prapradziadków był kochankiem carycy Katarzyny. Tak na marginesie: wszyscy mężczyźni w moim rodzie odznaczali się wyjątkową budową i postawą. Caryca biorąc sobie nowego kochanka wynagrodziła mojemu prapradziadowi rozstanie, ofiarując mu jedno ze swoich najładniejszych majtek, po prostu pamiątka miłosna, powiem panom, hafty na tych majtkach miały niezwykłą wartość, historycy sztuki oceniają te hafty jako najwybitniejsze dzieła sztuki XVIII w. w skali europejskiej, są liczne reprodukcje tych haftów, panowie może oglądali w albumach, oczywiście informacji, skąd one pochodzą, w albumach nie ma, panowie wybaczą, takich rzeczy się nie podaje w popularnych publikacjach, uczeni nie zgadzają się dotąd co do autorstwa tych haftów, pod uwagę brani są zasadniczo dwaj artyści, nie mówię panom nazwisk, by nie obciążać pamięci, ale wróćmy do tematu, moja rodzina przechowywała starannie cenne majtki carycy Katarzyny, jeden z moich dziadków poznał nawet w tym celu zasady konserwacji dzieł sztuki, przyszła jednak rewolucja, żołnierze powiesili majtki carycy na płocie i urządzili do nich strzelanie, szesnaście kul zniszczyło pamiątkę miłości”.

Wykłady mistrza o kobietach komponowały się w zamkniętą całość. Gdyby nie był przeciwny drukowaniu swoich nauk, mogłyby stanowić one mały, podręczny, zwięzły, sentencyjny katechizm wiedzy o kobietach, zwłaszcza dla młodych. Młodzieńcy kupowaliby je i uczyli się przed snem. ■